BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:		Z przesyłką pocztową:	
Rocznie . (52 tomy).	rs. 10	Rocznie. . (52 tomy)	rs. 12
Półrocznie (26 tomów)	„ 5	Półrocznie (26 tomów)	„ 6
Kwartalnie (13 tomów)	„ 2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów)	„ 3

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . . rs. 6 kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów). . . . „ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów). . . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

Główni współpracownicy:

Dr. Piotr Chmielowski,
Teodor Jeske-Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Święcicki.

WYDAWCY
Granowski i Sikorski.

REDAKTOR
Franc. Jul. Granowski.

Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 564.
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Swiat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 57.

WRÓG NAPOLEONA.

przez

Oskara Mysinga,

w przekładzie

Topora.

TOM II.

830-3

Cena 40 k.

W prenum. 30½ k.

WARSZAWA.

Redakcya i Administracya:

47. Nowy-Swiat 47.

1899.

Oskar Mysing.

Wróg Napoleona

301 709

w przekładzie

TOPORA.

Tom II.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
Granowskiego i Sikorskiego.
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 20 Іюля 1899 года.

174017

ROZDZIAŁ XI.

Mąż ze Wschodu.

Bonaparte przyjechał.

Rzeczywiście, jak pantera, skokami ogromnemi, nie czyniąc żadnego około siebie hałasu, zbliżał się do Paryża groźny generał, niosąc z sobą zgubę dla wrogów.

Po za sobą zostawił piramidy Egiptu, piasek czerwono-brunatny pustyni, w uszach słyszał jeszcze odgłosy kroków wielbłądzich, a przed oczyma jego błyszczały w słońcu spisy i dzidy mameluków. Umysł Bonapartego pracował ustawicznie, przesuwały się w nim całe historye tysiącletniego panowania królów i kapłanów.

Te dzieje wyczytał on w twarzach sfinksów i mumij egipskich.

Powracając do nerwowych, chorych ludzi kraju swojego, wnosił on z sobą poglądy ze wschodu i wiarę silną w powodzenie swoje. Wiedział, co go czeka w ojczyźnie: dom własny opuszczony i kraj nad brzegiem przepaści.

W dniu 23-im sierpnia opuścił Bonaparte Egipt i podjął przeprawę szaloną, prawie niemożliwą do wykonania, postanowił bowiem przedrzeć się do Francyi przez morze Śródziemne, zapełnione okrętami angielskiemi.

Kiedy też płynął obok Sycylii, a było to nocą, zdaleka ukazywały się krzyżowniki Anglii. Pomimo to jednakże przedarł się niepostrzeżenie i w dniu 27-ym września wylądował w Ajaccio, zkąd nie mógł wyruszyć aż dopiero w dniu 6-tym października.

Okręty angielskie pozwoliły wymknąć się takiemu cennemu łupowi, nie wiedziały też zupełnie o pobycie Bonapartego. List Eltona nie doszedł i cały zamiar przeszkodzenia generałowi został unicestwiony.

W dniu 9-ym października wylądował w Fréjus, a 16-go zjawił się w Paryżu.

Już od pierwszych dni października opanowało Paryż wzburzenie i zdziwienie.

Wódz armii wschodniej, który przed siedemnastu miesiącami wyruszył z Tulonu i któremu wróżono zgubę niechybną, powrócił znów do stolicy; ogólnie też czyniono sobie zapytania, co Bonaparte teraz uczyni i do jakiego obozu się przyłączy. Nikt nie był pewnym, jakie stsnowisko zajmie ten człowiek wobec nędzy kraju i wichrzenia stronnictw rozmaitych...

Najważniejszem wszakże było zagadnieniem, jak zachowa się Dyrektoryat, który nie spodziewał się powrotu, ani też go nie nakazywał generałowi.

Jedna tylko armia cieszyła się szczerze, ta ar-

mia, którą młody Bonaparte we Włoszech prowadził od zwycięztwa do zwycięztwa.

Niczem więcej nie zajmowano się w Paryżu, a zdania, ścierające się wzajemnie, rozgrzewały wszystkich. Po kawiarniach, na ulicach i w salonach rozbrzmiewało tylko nazwisko Bonapartego. Paryż podzielił się teraz na dwa obozy, w których dominowały: trwoga i nadzieja, nienawiść i przesąd, złość tajona i nieukrywana, oraz podejrzliwość; dla szerokich jednakże mas ludności młody, zaledwie trzydziestoletni generał, stawał się kotwicą, która nie pozwoli dalej tonąć zagrożonej nawie ojczystej.

Kiedy nazajutrz po powrocie swoim Bonaparte udawał się do Dyrektoryatu, ażeby oficyalny złożyć raport, cały plac przed świątynią Zwycięztwa, dawniejszym kościołem św. Sulpicyusza, i cała droga ku pałacowi Luksemburskiemu zapełniona była tłumami ze wszelkich warstw społecznych; w kawiarniach i restauracyach dobijano się o miejsca.

Masy te nie ustępowały, gdy zniknął powóz generała za bramą pałacu, przeciwnie, wszyscy czekali na powrót jego, opowiadając sobie przytem najdziwaczniejsze historye, jakie rozgrywać się miały pomiędzy nim a Dyrektoryatem.

Jakiś rzeźnik, z kopanką, wyłożoną mięsem i niesioną na barkach, rzekł głośno:

— Oni go tam będą chcieli zatrzymać na śniadanie, ale jabym wolał śniadać z prababką Lucypera, aniżeli z tym łotrem Barrasem. Nie napróżno posłał go do Egiptu, ażeby go tam dzikie ludy pożarły, ale teraz, kiedy już powrócił, to z pewnością będą starali się go otruć.

— Zapominasz, obywatelu — rzekł na to inny rzemieślnik — że arystokraci nie lubią posługiwać się trucizną, oni wolą sztylet! Niech się też Bonaparte nie boi tego śniadania, ale strzedz się powinien zasadzki.

— Gotowi go jeszcze odrazu zaaresztować— zauważył młodzieniec w podartem ubraniu.

— Cóż u dyabla! Czyż nas to już niema na świecie!—krzyknął majster rzeźnicki.—Niechaj tylko spróbują, niech chociażby jeden włos spadnie z głowy bohatera z pod Lodi, a wtedy my pójdziemy do pałacu Luksemburskiego i nawet strzępki nie pozostaną z ich błyszczących pióropuszów.

Z tłumu padło nagle zapytanie, wyrzeczone donośnym głosem:

— Obywatelu, czy przypuszczasz, że znalazłoby się w Paryżu dziesięć tysięcy dobrze myślących ludzi, którzyby przyszli na pomoc Bonapartemu, gdyby go skrzywdzić chcieli arystokraci?

Majster rzeźnicki zwrócił się z oburzeniem do mówiącego:

— Co? co? bohaterowi, który zdobył Włochy, mianoby odmówić pomocy?

— Jemu, który rozpędził Austryaków i który przed dwoma laty święcił zwycięztwo pod Castiglione?

Nagle tensam głos z tłumu rzucił zapytanie:

— Czy pamiętacie, jakie ten sam Bonaparte obchodził zwycięztwo przed czterema laty?

Była to aluzya do krwawych dni 1795-go

roku, kiedy Bonaparte kartaczami prażył lud paryzki.

Wszyscy zwrócili oczy na mówiącego i dostrzegli młodego, wytwornie ubranego mężczyznę, w długim, ciemnym surducie, ze zgrabną laseczką w ręce. Młodzieniec ten, Hektor Laringuet, stał oparty o mur kamienicy i uśmiechał się ironicznie.

Nikt mu nic nie odpowiedział na razie, więc też Hektor nieustraszony mówił dalej drwiąco:

— Jeżeli, obywatele, przypominacie już wszystkie czyny bohaterskie generała Bonapartego, to nie wolno i o tem zapominać.

— Jakiś arystokrata — zaśmiał się rzeźnik — popatrzcie tylko na tę minę panicza!...

— Znam ich dobrze—zawołał głosem piorunującym inny rzemieślnik — taki, toby pierwszy gotów był wlać trucizny do szklanki generała. Obywatele! trzeba mu taką dać pamiątkę, ażeby raz na zawsze odechciało mu się mówić źle o generale Bonaparte.

Tłum, złożony najmniej z dwudziestu ludzi, rzucił się na Hektora, przyciskając go do muru i wymierzając razy. Napróżno w podartem już odzieniu bronił się rozpaczliwie i ochrypłym głosem krzyknął:

— Tchórze! napadacie na bezbronnego!

— Zamknąć mu gębę! Na latarnię z nim! — wołali najwścieklejsi.

Chwila była dla Laringueta prawdziwie niebezpieczną, gdy nagle ruch zrobił się niezwykły w tłumie i z tysięcy piersi wydobył się okrzyk:

— Bonaparte jedzie!

Istotnie, na końcu ulicy ukazał się powóz generała. Powóz musiał się posuwać wolno, tłum bowiem zapierał mu drogę i wszyscy z uniesionemi w górę kapeluszami wydawali okrzyki:

— Niech żyje Bonaparte!

Człowiek, którego tak namiętnie, tak gorąco witano, zimno patrzył na ten lud paryzki i tylko kilka razy ręką oddawał ukłony; chudy, niepozorny, wcisnął się w kąt powozu i jechał w milczeniu. Cera, dawniej lekko żółta, teraz śniadą była zupełnie; ubrany w mundur zwykły, otulał się w płaszcz szary, przy boku zaś dźwigał pałasz turecki na prostym pasie wełnianym.

Przyzwyczajony do innych żarów słonecznych przez tyle miesięcy, generał marzł w Paryżu.

Obok Bonapartego siedział adjutant, za powozem postępowało dwóch ordynansów.

Okrzyki i hałasy nie ustawały ani na chwilę. Jakiś rzemieślnik wskoczył na stopień powozu i wołał:

— Generale obywatelu! Arystokraci chcieliby ciebie zamordować, ale my, lud paryzki, nie pozwolimy na to, ażeby cię miano krzywdzić!

— Strzeż się pięciu łotrów z pałacu Luksemburskiego!—krzyknął inny.

— Nie opuszczaj nas więcej, odkąd bowiem ciebie zabrakło w Paryżu, wrogowie nasi rozpoczęli pracę zdradziecką.

Co się działo w duszy Bonapartego, gdy słyszał te wszystkie uwagi, nie domyślał się nawet adjutant, siedzący obok; ani jeden muskuł nie za-

drgał w twarzy i nie zdradził uczucia, jakiego nie mógł nie doznawać.

Pochód musiał się zatrzymać, w tej chwili bowiem grupa z Hektorem przeciskać się zaczęła do powozu.

— Przyprowadzamy ci jednego z tych zbrodniarzy! — zawołał majster rzeźnicki, trzymając silnie za kołnierz Laringueta. — Ten człowiek ośmielił się mówić przeciwko tobie, z pewnością jest to jeden z tych zdrajców, chcących ciebie zamordować. Czy każesz go powiesić na pierwszej latarni?

Bonaparte podniósł się z siedzenia, kazał się zatrzymać powożącemu i zwrócił się do adjutanta:

— Zobacz, Descamps, co się tam stało; ci ludzie nie wiedzą, co czynią.

Descamps szybko podbiegł do tej grupy, ale natychmiast przystanął przerażony.

— To ty, Hektorze?...

Laringuet popatrzył i poznał przyjaciela swojego, Gastona, nie tracąc też swobody, przemówił:

— W samą porę zjawileś się, Gastonie, ci obywatele bowiem mieli jakieś złe względem mnie zamiary.

Descamps zwrócił się do tłumu:

— Proszę puścić tego pana, generał sam pragnie zbadać jego sprawę.

Biorąc Hektora za rękę, szepnął Gaston:

— Nieszczęsny, coś ty uczynił?

— Nic tak wielkiego, przypomniałem tylko kil-

ka chwil bohaterskich z życia Bonapartego, po za tem nic więcej.

— Później opowiesz, a teraz pójdź ze mną spokojnie.

Z trudem przeprowadził Descamps Hektora aż do powozu generała, gdzie już młody Laringuet mógł być bezpieczny.

— Panie generale—rzekł Descamps z drżeniem w głosie—oto ten pan, który...

Bonaparte zimny swój wzrok skierował na Hektora, który spokojnie stał przed nim.

— Podobno lżyłeś mnie pan przed chwilą?—zapytał spokojnie.

— *Parbleu*, generale—odrzekł młody szlachcic, kłaniając się z przesadną uniżonością — nie lżyłem bynajmniej, przypomniałem tylko jedną datę historyczną; wyliczano tu wszystkie zwycięztwa pańskie, wspomniałem zatem także o Vendemiairze 1795-go roku.

Bonaparte zmarszczył brwi, ale w tej chwili się opamiętał i wzruszył pogardliwie ramionami, obracając się zaś do Descampsa, rzekł:

— Prawdopodobnie jest to jeden z dworaków pani de Contades.

— Mam zaszczyt liczyć się nie tylko do dworaków, ale do prawdziwych przyjaciół tej pani—dobitnie odezwał się Hektor, udając, że nie widzi znaków, dawanych mu przez Gastona.

Generał przygryzł usta, a Descamps, który go znał dobrze, widział, że Bonaparte z trudem hamuje gwałtowny wybuch gniewu.

Pomimo to panował nad sobą i szeptem, tak,

że go nie mógł usłyszeć nikt oprócz Descampsa, mówił:

— Zaledwie pierwszy krok uczyniłem w Paryżu, a już wpoprzek drogi staje mi ta kobieta. Wszędzie, nawet w Egipcie czułem jej robotę, każda piędź ziemi przez nią była podminowana. Ostatecznie zakończyć z nią muszę wszelkie rachunki! Czy pamiętasz te paszkwile, jakie wrzucono nam do powozu w Lyonie? To ona kazała je drukować.

Spojrzał raz jeszcze na Hektora pogardliwie i przemówił głośno:

— Możesz pan odejść spokojnie, z tem przeświadczeniem, że lud paryzki umie stosownie oceniać moje zwycięztwa i pańskie słowa obelżywe.

Chciał już rozkazać stangretowi, aby jechał dalej, ale Gaston Descamps pochylił się ku generałowi i kilka słów szepnął mu do ucha, poczem Bonaparte skinął głową.

— Dobrze, odprowadź go, ci ludzie są zanadto wzburzeni. Umiem oceniać dobre chęci ludu paryzkiego, ale trzeba go zawsze trzymać na wodzy. Czekam cię jutro rano u siebie.

Powóz ruszył, a lud ustawicznie wydawał okrzyki.

Adjutant Bonapartego, nie zwlekając, schwycił Hektora pod ramię i skręcił w uliczkę, gdzie spostrzegł kawiarnię niepozorną.

— Takie to nasze powitanie po dwóch latach! — rzekł Gaston, witając serdecznie przyjaciela, który przedewszystkiem zajął się poprawianiem ubrania, mocno nadwerężonego w bójce.

— Niestety! z boleścią widzę, że przez te dwa lata niewiele zmądrzałeś.

Na pół z uśmiechem, na pół z gniewem mruknął Hektor:

— Kanalie! nowiuteńki kołnierz z aksamitu zielonego podarli mi doszczętnie! Mniejsza jednakże o kołnierz, gdyby nie ty, to może nie tylko kołnierz, ale i życiebym postradał.

Gaston serdecznie uścisnął rękę przyjaciela i spoważniał, patrząc na młodego Laringueta.

— Zachowanie twoje dzisiejsze dużo daje do myślenia.

— Ha! cóż robić, w Paryżu wszyscy są dziś albo za, albo przeciw Bonapartemu, najdalej zaś w przeciągu dwóch tygodni wyjaśnić się będzie musiała sytuacya.

— Widzę, że nic się nie zmieniłeś.

— Ale za to ty zmieniłeś się bardzo; dawniej pisałeś się d'Escamps, teraz stare swoje nazwisko uważałeś za stosowne przemienić na Descamps. Naturalnie, że to bardziej przystoi oficerowi armii republikańskiej.

— Odkąd postanowiłem pędzić żywot użyteczny i szukać chluby w boju, obojętną stało mi się rzeczą takie lub inne pisanie nazwiska swojego.

— Nie wielka to chluba służyć pod sztandarami królobójców i bandytów!

— Daj pokój tym uwagom—odparł Gaston poważnie—przyjmij też zapewnienie moje, że w ciągu tych dwóch lat zmieniłem się bardzo. Zresztą tyle

głupstw nabroiliśmy razem w życiu, że dla mnie taka odmiana była wprost konieczną.

Siedzący naprzeciw Hektor uważnie i badawczo spojrzał na przyjaciela, ale Gaston wytrzymał to spojrzenie.

Potomek wielkiej rodziny francuskiej, d'Escamps, wyglądał teraz zupełnie inaczej, aniżeli ta młodzież, która hulaszcze pędziła życie w Paryżu; chudy, z twarzą pociągłą i opaloną, o włosach, które spadały na czoło, szerokobarczysty, z blizną podłużną, ciągnącą się od podbródka aż do ucha, przedstawiał typ, jaki trudnoby było znaleźć po salonach, ale o jakie łatwo w armii republikańskiej. Ani śladu dawnego bawiciela dam z Palais Royal, czas i trudy wojenne zrobiły swoje.

Wzrok pewny, niczem nie zamącony, ruchy energiczne — wszystko to zdradzało epokę, w której młodzież starsza zastępowała młodzież naprawdę młodzieńczą.

Ta nowa młodzież nauczyła się bardzo dużo w życiu, zapomniała o błędnych ognikach popędów arystokratycznych i wdrożyła się w nowe warunki bytu.

W Gastonie Descamps znać było teraz siłę skoncentrowaną, tę siłę, która pozwala czekać cierpliwie i spoglądać w przyszłość; z dawnych czasów pozostała mu tylko dbałość o pewną elegancyę i ład, oraz czystość w ubraniu.

Hektor nie rozumiał już dziś przyjaciela swojego i śledził, jakie zmiany zajść mogły w tym człowieku.

Ażeby przerwać milczenie, młody Laringuet odezwał się pierwszy.

— Nie wiem, kto mi powiedział, że podczas wybuchu powstania Arabów miałeś poledz na placu boju w Kairze?

Gaston rozśmiał się wesoło.

— Nie pierwszym byłeś, który w to uwierzył; jakiś Nubijczyk ciął mnie wprawdzie pałaszem i przez pięć miesięcy leżałem w szpitalu. Na szczęście, wyleczyłem się z rany, chociaż te szelmy mają pałasze wielkie i ostre. Po wyzdrowieniu pomaszerowaliśmy do Syryi, gdzie zburzyliśmy namiot wielkiego wezyra i gdzie plądrowaliśmy w drogich materyach, jedwabiu i złocie.

— I ty plądrowałeś także?!

— Odbyłem całą kampanię do końca, przeszedłem czerwono-brunatne pustynie, gdzie trudniej o kroplę wody, niż w Paryżu o szampana, uczestniczyłem w potyczce pod Accon, przeszedłem zarazę w Jaffie, ale... ale... nie przypominaj mi lepiej o tem.

Gaston schwycił za szklankę i wypił całą zawartość duszkiem, poczem mówił dalej:

— Mój Boże! piętnaście tysięcy ludzi zostawiliśmy pod Accon, i wtedy po raz pierwszy widziałem, że nasz generał Bonaparte stracił cierpliwość.

Zamilknął, ale Hektor w tej chwili rzekł:

— Mów dalej o tych rzeziach, jakie cywilizowany naród francuski podejmował wśród barbarzyńców.

Descamps wygodnie rozparł się na krześle i mówił z uśmiechem:

— Mój drogi! pamiętam ja dobrze te chwile, kiedyśmy o godzinie czwartej rano z ciężkiemi głowami i z rozpalonemi umysłami powracali z Café Royal; wtedy tak samo rozumowałem, jak ty dziś. Wtedy rewolucyoniści wydawali się nam wybierkami bandytów, a nam zdawało się, że tylko przystoi milczeć i czekać na Mesyasza, mającego się ukazać z drugiej strony kanału.

— Dziś tego rodzaju poglądy uważam za ogromne głupstwo, dziś Francya wszystkich swoich potrzebuje synów, kraj nasz stanął do pojedynku przeciwko Europie całej, a pojedynek to, wobec którego walka Dawida z Goliatem jest niczem. Tu potrzeba wszystkich piersi i krwi najszlachetniejszej! Nam nie wolno udawać niezadowolonych, nam nie wolno czasu drogiego tracić przy marnej grze w faraona.

W miarę gdy mówił, rozpalał się Descamps, co widząc Hektor, uśmiechnął się złośliwie.

— Widzę, że ci bardzo dobrze jest jako adjutantowi generała Bonaparte, powiem ci jednak otwarcie, kochany Gastonie, że czuję, iż w przyszłości mniej dobrymi będziemy przyjaciółmi, aniżeli to bywało dawniej.

— Ja nie przypuszczam tego ani na chwilę — z uczuciem zawołał Descamps — liczę ciągle jeszcze na to, że ciebie nawrócę, że cię przekonam, iż od Burbonów Francya niczego nie może się spodziewać! Cała przyszłość narodu—to Bonaparte!

— Ależ nie dziwię się wcale, że ty i twoi towarzysze z tą nadzieją wróciliście z Egiptu. To ka-

ryera, to możliwość dobicia się jakiegoś stanowiska w tym rządzie republikańskim.

Nastała chwila milczenia, podczas której Gaston wzrok wlepił w przyjaciela, ale ten nie mówił ani słowa.

Wreszcie Hektor zapytał pospiesznie:

— I cóż dalej myślicie począć? Czego się spodziewa ten wasz generał od Dyrektoryatu? Toć on złożył dowództwo wojsk bez rozkazu z góry i powrócił do Francyi! Po co? dlaczego?

Gaston podniósł się nagle, skinął na sługę i wyciągając z kieszeni pieniądze, chciał zapłacić rachunek.

— Odpowiedz mi na to! — powtórzył Hektor niecierpliwie.

— Mój drogi! nie wglądajmy w przyszłość! Co ma przyjść, to przyjdzie, a chyba ty wiesz najlepiej, ilu nieprzyjaciół ma Bonaparte! Czeka nas walka na śmierć i życie.

Powstali obydwaj i Gaston zwrócił się wesoło do Hektora.

— Jesteś zatem przyjacielem pani de Contades?

— Codziennym jestem tam gościem.

— Ah! więc i ty nawet dałeś się usidlić w te szpony... i ty nawet!

Młody Laringuet przystanął na dźwięk, z jakim padały słowa Gastona, wszystko tam było: gniew, niespodzianka, zdumienie i przerażenie.

— Cieł ie to dziwi?

— Ani trochę! Widzę tylko, że pani de Con-

tades zawsze jeszcze chce uchodzić za Circe pomiędzy młodzieżą rojalistyczną.

Descamps rozśmiał się boleśnie, Hektor nie odpowiedział nic.

Z kawiarni wyszli na ulicę i skierowali się wprost do St. Germain, gdzie młody oficer pożegnał się z przyjacielem.

— Bądź zdrów! mnie kazano złożyć raport ministrowi Talleyrand.

Gaston bardzo był poważny, gdy uchwycił rękę Hektora i rzekł serdecznie:

— Hektorze! zapomnij o tem, co było niegdyś, ale pamiętaj, że cokolwiekby się przytafić mogło i gdziekolwiekbym cię nie spotkał, zawsze we mnie znajdziesz przyjaciela takiego, jakim byłem w dniach szału i młodości.

— Chciałbym ci podziękować, ale niestety! taki dziś jesteś polityczny.

— Nie zważam na twoje drwiny, powiem ci zatem jeszcze: strzeż się kobiet z naszej sfery, strzeż się przedewszystkiem pani de Contades! To straszna kobieta, to przekleństwo ciążące nad życiem narodu. Klęską to jest dla nas, że my zawsze szukamy pociechy i wskazówek w tym żywiole, demonicznym a popychającym.

— O Boże, znów znalazłem kogoś takiego, który mi prawi o moralności. Zupełnie jak gdybym patrzył na Alicyę—westchnął komicznie Laringuet.

— Któż to jest ta Alicya?

— Jakżeby ci to powiedzieć! Alicya — to piękna, w jasne włosy obramowana i rozumna głowa.

Ożeniłbym się z nią w tej chwili, gdyby jej ojciec nie miał trzech milionów i gdyby nie chciał odrazu płacić wszystkich moich weksli.

Hektor w krótkości opowiedział przyjacielowi o całym swoim stosunku z rodziną Grosrenard i niecierpliwię czekał, jakie wrażenie zrobi to wyznanie, a kiedy Gaston milczał, zawołał na pół ironicznie, na pół poważnie:

— W takiem położeniu zagadkowem nie byłeś chyba nigdy jeszcze! Jeżeli się z Alicyą ożenię, to będę zrujnowany moralnie, jeżeli zaś nie stanę na ślubnym kobiercu, tem większa czeka mnie ruina.

— Nie widzę tu żadnego dylematu, powiedz raczej, czy ją kochasz?

Hektor wyprostował się dumnie:

— Mój przyjacielu! można herb swój sprzedawać nawet rzeczypospolitej, można za honor uważać, gdy się przy boku dźwiga szpadę królobójców, ale worka ze złotem nie poślubia się wtedy, gdy się w sobie ma bodaj odrobinę honoru.

Hektor uścisnął rękę przyjaciela i odszedł, pozostawiając Gastona w tem przekonaniu, że ludzie jego sfery są odważni, dumni, ale posiadają naprawdę dzikie i niezrozumiale kaprysy.

ROZDZIAŁ XII.

Mężczyzna i kobieta.

W pierwszej połowie października cały Paryż zadawał sobie pytanie: „wróci, czy nie wróci?"

Teraz pytano się tylko: „do kogo zwróci się Bonaparte?"

Nikt nie miał pojęcia, jakie są zamiary generała, ale nikt chyba nie przypuszczał, ażeby ten człowiek, powróciwszy obecnie, mógł być bezczynnym i zamilknąć zupełnie, natomiast wszyscy przypuszczali, że rzuci się w wir walki stronniczej, ale do którego stronnictwa się przyłączy, tego nikt nie śmiałby wypowiedzieć głośno.

Złożywszy wizytę Dyrektoryatowi, Bonaparte mało wychodził z domu i zdawał się unikać wszelkich stosunków towarzyskich, tem więcej jednak na zebraniach i w teatrze rozmawiano tylko o generale Bonaparte.

Dobijano się formalnie o niego, wyszukiwano miejscowości, gdzie miano jakąśkolwiek bodaj nadzieję, że generał przyjdzie do niej, a każde słowo, po-

dane przez najbliższe otoczenie, obiegało Paryż cały...

Położenie wielce stawało się podobne do owych dni, gdy cień Cezara padał na konającą rzeczpospolitą.

W „Théatre français" przygotowywano się do przedstawienia Arnaulta „Wenecyanów", więc też z góry wszystkie rozkupiono bilety w tej nadziei, że poeta, który zaliczał się do ludzi zaufanych w rodzinie Bonaparte, sprawi, iż na przedstawieniu obecnym będzie tajemniczy generał.

Pani de Contades zajęła lożę i uważnie przysłuchiwała się aktowi pierwszemu, a już przed podniesieniem kurtyny w tej loży zjawiło się kilku deputowanych, oczekujących na wskazówki, jak postąpić należy wobec zupełnej zmiany położenia rzeczy. Pomimo niepowodzeń, stronnictwo rojalistyczne nie traciło ducha i liczyło na to, że szczęśliwy zbieg okoliczności przyczyni się do powodzenia zamiarów.

Po pierwszym akcie opuściła lożę, a udając się do foyer, spotkała się oko w oko z Eltonem.

— Jak to dobrze, że pana spotykam — rzekła serdecznie — właśnie miałam zamiar odszukać pana w teatrze.

— Tym razem krótko musimy z sobą rozmawiać—szepnął—śledzą mnie dziś bardzo.

Pani de Contades mówiła zatem pośpiesznie:

— Otrzymałam złe wiadomości. Moreau odmówił rozmowy wyznaczonej na jutro i boję się bardzo, ażeby on nam zupełnie nie odpadł. Odkąd Bo-

naparte pojawił się w Paryżu, ci ludzie wszyscy patrzą tylko na niego.

— Masz pani słuszność, ten człowiek zupełnie pokrzyżował nam szyki, nie rozumiem jednak, dlaczego admirał nie wypełnił rozkazu.

— I ja tego nie rozumiem zupełnie, przez chwilę też gotowa byłam przypuszczać, że jakiś zdrajca znajduje się pomiędzy nami, ale to niemożliwe.

Elton wzruszył ramionami i uśmiechnął się złośliwie.

— Jeszcze nic straconego, wszystko można będzie naprawić.

— Na miłość Boską, nie myśl pan tylko o żadnem morderstwie, wtedy bylibyśmy raz na zawsze skompromitowani, a sprawcy szukanoby tylko pomiędzy nami. W inny sposób załatwić się musimy z Bonapartem.

— Czyż ja myślę o morderstwie? Przecież ten człowiek nie ma żadnej władzy, nie ma armii, nie ma nawet ani jednego korpusu na swoje zawołanie!

Estella potrząsnęła głową.

— Jak widzę, lekceważysz go, panie Elton, i nie dostrzegasz tego wpływu, jaki Bonaparte wywiera na masy. Co do mnie, widzę rzeczy jasno, pozyskać nie będziemy go mogli nigdy, trzeba go zatem usunąć.

— Ale w jaki sposób?

— Jako człowiek praktyczny, musisz pan wiedzieć, że nie ma nic lepszego nad obciążenie przeciwnika własnemi grzechami swojemi — zaśmiała się młoda kobieta.

— Dowiedziałam się, że Bonaparte w Egipcie utrzymywał korespondencyę z komendantem floty angielskiej, Sidneyem Smith; posyłał on mu gazety i rozmaite inne papiery, a w ręku mojem znajdują się listy oficerów, którzy to w każdej chwili mogą potwierdzić.

— W tych warunkach nie trudno sformułować oskarżenia o zdradę stanu, które tem większej nabierze wagi, że generał nagle opuścił Egipt i nie zaczepiany przez Anglików, przybył do Europy. Skoro mu tego dowiedziemy, to spotka go los Custine'a i Hoche'a.

Elton skłonił się nizko i rzekł:

— Od pani nawet Semiramida mogłaby się dużo nauczyć.

— Od pana zaś szatan mógłby brać lekcye...

Raz jeszcze uśmiechnął się Elton i chciał już odejść, gdy go zatrzymała pani de Contades.

— Jeszcze tylko jedno zapytanie: Czy Bonaparte jest w teatrze?

— Mówiono, że miał przybyć, ale dotąd go nie widzę; gdybyś go pani jednak spotkać tu miała, to radzę być bardzo ostrożną.

Jeszcze raz skłonił się Elton i oddalił szybko, margrabina zaś postąpiła kilka kroków, a spostrzegłszy Grandmaisona, poprosiła go, ażeby ją poprowadził do foyer.

Grandmaison skłonił się pokornie, ale znać było, że niechętnie przyjmował to zlecenie, szepnął też cicho:

— Czy nie wiesz pani o tem, że Bonaparte

jest w teatrze? Ten człowiek zawziął się na panią, mówiono mi nawet...

Pani de Contades przerwała niecierpliwie:

— Poprowadź mnie pan do foyer, panie Grandmaison.

Bez oporu poprowadził ją do pięknie przybranej, wpół-okrągłej sali, gdzie pani de Contades spoczęła na kanapie z czerwonego jedwabiu.

W tej chwili przybliżył się do niej markiz Champfleury i deputowany Arena; ze wszystkich stron patrzono na nią i zebrani tu goście oczy swoje wlepili w tę kobietę.

Wszyscy wiedzieli, że Bonaparte znajduje się w teatrze i nie pojmowali, jak ta kobieta może być podobnie zuchwałą.

Rozumowano, gestykulowano, gdy nagle w małej bocznej galeryi ukazała się nizka, chuda postać generała. Obok niego kroczył człowiek w białej wielkiej peruce, o cerze woskowej, minister Talleyrand.

Kiedy Bonaparte ujrzał margrabinę, otoczoną przyjaciółmi, zdumiał się i zatrzymał na chwilę. Trwało to jednakże krótko, poczem ręce skrzyżował na piersi i szybkim krokiem wprost skierował się ku niej.

Jak gdyby iskra elektryczna przebiegła przez wszystkich, znajdujących się w foyer, oczy zebranych skierowały się na generała, a każdy zapytywał się: co z tego wyniknie?

Było to straszne dla tych, którzy pomyśleli w tej chwili o wszystkiem, o stosunkach, jakie rozdzieliły tych dwoje ludzi.

Ten człowiek, który zdobył Włochy i Egipt i który osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy miał na zawołanie, człowiek, przed którym drżała cała rzeczpospolita, szedł do pojedynku z bezbronną kobietą. Pomimo całego panowania nad sobą, Bonaparte miał krok chwiejny, wargi zaś jego drżały.

Pani de Contades ani drgnęła, przeciwnie, uśmiechnęła się lekko.

Muchę słyszećby można brzęczącą, kiedy Bonaparte, utkwiwszy w Estelli wzrok przenikliwy, mówił:

— Pani! kiedy na wschodzie prowadziłem wojnę, wspaniałomyślny wróg mój, Murad Bey, oddał w ręce moje jakiegoś fanatyka, który przysiągł, że mnie zgładzi ze świata. Ten fanatyk przez dwa tygodnie chodził krok w krok za mną i czyhał ze sztyletem zatrutym, a wtedy się zdawało, że nie ma na świecie wstrętniejszych skrytobójców! Dziś widzę, że omyliłem się bardzo, na progu ojczystym spotkałem gorszych jeszcze.

— Nie rozumiem, o kim pan mówisz, generale?—zapytała zimno,

— Panią mam na myśli, albo raczej to stronnictwo, które Francyę chce zaprzedać zagranicy, mówię o tych płatnych wysłannikach Bourbonów, których przekupuje złoto angielskie.

Nastała większa jeszcze cisza, oczy zaś Bonapartego rzucały iskry.

— Oko za oko, ząb za ząb! Wy śmierci mojej chcecie, dlatego, że nazwisko moje oznacza dobro rzeczypospolitej, dlatego, że zwycięztwa oręża francuskiego związane są z imieniem mojem!

— Bardzo to chwalebnie z pańskiej strony, że sam tak podnosisz zasługi swoje — wtrąciła — ale...

Bonapate, jak gdyby nie zwracał na to uwagi, mówił dalej:

— Nie poznałem Francyi po moim powrocie, ja, który dla tej Francyi zdobyłem szablą szacunek w całej Europie.

— A gdzież armia egipska?—zauważyła z uśmiechem.

Po tem zapytaniu niepokój i osłupienie ogarnęło wszystkich, ten i ów nie wiedział, jak Bonaparte odpowie na ten zarzut ciężki, ona zaś mówiła dalej:

— Miałeś pan czterdzieści tysięcy najlepszych żołnierzy francuskich i tych opuściłeś, panie generale, czy to także bohaterstwo?

Bonaparte odstąpił dwa kroki w tył i rzekł, tamując wzburzenie:

— Nie przed panią składać będę rachunki, nie dla pani, która niczego nie wahałaś się uczynić, ażeby mnie zgubić i prześladowałaś dom mój cały będę się poniżał, nie przed panią będę się usprawiedliwiał!

Pani de Contades zaśmiała się głośno:

— Jakże można się tak oburzać! Pan, który chciałeś zdobywać cały Egipt, wschód cały, powracasz teraz do domu dlatego tylko, że ci ktoś burzy twoje szczęście rodzinne! Taka odrobina, jak d'Acre, wstrzymała cię w pochodzie? Ah! jaka to szkoda, że i dla ciebie istnieją jakieś przeciwności! Taki piękny, tak dużo obiecujący był początek!

Bonaparte ręce ścisnął w kułak i rzekł przez zęby:

— Proszę się liczyć ze słowami!

Pani de Contades mówiła dalej trymfująco:

— I cóż pana powstrzymało? Przecież chyba nie zaraza, ani nie materyały apteczne, które rozdzieliłeś w szpitalach Jaffy pomiędzy trzy tysiące Francuzów, ażeby ich uwolnić od mąk tego życia. Nauczyłeś się dużo, panie generale, od tureckich baszów!

Takiej sceny nie przewidywał Bonaparte, spojrzał też na młodą kobietę wzrokiem piorunującym, w którym zawarł całą nienawiść swoją, bąknął wszelako jedynie:

— Pani się zapominasz!

— Rozumiem cię doskonale, generale, i pojmuję, że człowiek, który się uważa za Aleksandra Wielkiego, nie może zważać na drobnostki. Powiem nawet, że wcale dobrze skopiowałeś Aleksandra, ta mała tylko zachodzi pomiędzy wami różnica, że tamten był królem, a ty, panie, generałem.

Słowa te padły, jak iskra na beczkę prochu, i wszyscy obecni spostrzegli, że Bonaparte zbladł strasznie. Ten i ów wybiegł, ażeby treść rozmowy zanieść do najdalszych zakątków teatru.

Głos Bonapartego był straszny, gdy krzyknął:

— Pani! Dotąd mogłem się tylko śmiać z ciebie, ale teraz widzę, że innych środków trzeba się chwycić, ażeby cię zmiażdżyć.

— Panie generale! przecież to tylko zwykła rozmowa towarzyska, a nie przypuszczam, ażebyś ko-

biecie z mojej sfery chciał prawić niegrzeczności. Ten groźny ton mógł być dobry w obozie egipskim, ale chyba nie przypuszczasz, ażebym ja mogła się ulęknąć? Nie jesteśmy w Kairze, pan nie jesteś baszą, to... Paryż, generale...

Podczas tej rozmowy pani de Contades uśmiechała się lekko i z tym uśmiechem cios za ciosem wymierzała w Bonapartego, który czuł, że bądź co bądź nie dorósł tej kobiecie; ona nie dała się zastraszyć, jak inne kobiety. Otoczenie całe, przychylne Bonapartemu, z niepokojem patrzyło na to, iż on traci grunt pod nogami i że gotów każdej chwili dać się unieść wzburzeniu.

— Strzeż się pani!—krzyknął, zbliżając się tuż do niej—znam wszystkie intrygi, uknute przez partyę waszą dla zgubienia Rzeczypospolitej, a wszędzie panią znajduję na pierwszem miejscu, ciężko też odpokutujesz za to.

Estella de Contades podniosła się dumnie i wyrzekła lodowato:

— Nie zwiedziesz mnie, panie generale, ten gniew twój jest sztuczny; cały Paryż wie o tem, jak wybornie umiesz grać, gdy potrzeba, komedyę rozgniewanego, ale na mnie nie czyni to żadnego wrażenia. Znam pana przecież na wylot i wiem, dlaczego pan gniewasz się na mnie. Przedemną nie odegrasz pan komedyi nowej, ani też nie zaprzeczysz, że tylko dlatego powróciłeś z Egiptu, ażeby całą władzę nad krajem ująć w swoje ręce. Rzeczpospolita upadnie, a kto potem rządzić będzie Francyą, to kwestya nierozstrzygnięta. Pan chciałbyś zagarnąć panowanie przy pomocy swoich pretoryanów.

Wyrzekłszy to, nie patrzyła już na Bonapartego, ale badała wrażenie, jakie jej słowa czynią na otoczeniu. Istotnie ci, którzy przysłuchiwali się rozmowie, inne w tej chwili mieli twarze; zapanowało ogólne poruszenie, szeptano mówiono nawet dość głośno:

— Patrzcie na tego nowego Cezara!

— Spytajcie się, czy on czasem już purpury nie przywiózł z Egiptu?

Ktoś odważniejszy krzyknął:

— Człowiek, który w tem położeniu opuścił armię, powinien być postawiony przed sądem wojennym.

Pierwszy spostrzegł to wrzenie Talleyrand i biorąc Bonapartego za ramię, szepnął:

— Chodźmy, nie pora teraz wdawać się w dyskusyę!

Pani de Contades jeszcze raz dumnie obejrzała się wokoło, poczem, oparta na ramieniu Grandmaisona, opuściła, żegnana głębokiemi ukłonami, foyer teatralne.

— Wspaniale zachowałaś się pani—rzekł Grandmaison –dowiodłaś światu całemu, że pałasz nie jest dotąd jedyną siłą rządzącą w Paryżu.

Oczy kobiety błyszczały, gdy odrzekła:

— Wiem, ze uczyniłam dobrze, a jednak teraz dopiero trzeba nam się mieć na baczności. Rozpoczęła się obecnie walka na śmierć i życie, i albo my jemu zetniemy głowę, albo też on nas każe zgilotynować.

Nie czekała końca przedstawienia i ścigana setkami par oczu, poważnie zeszła po schodach, ażeby

odjechać do domu. W przedsionku spotkała całą grupę oficerów, w pięknych błyszczących mundurach, którzy stanęli wokoło człowieka o cerze brunatnej, świadczącej, iż równocześnie przybył z Bonapartym z Afryki.

Kiedy pani de Contades spostrzegła owego oficera, stanęła, jak gdyby przykuta do ziemi, i ona, która przed chwilą drwiła sobie ze zwycięzcy nad Włochami, zbladła i zaczęła drżeć na całem ciele.

Gaston Descamps, on to był bowiem, wlepił wzrok w piękną kobietę i była chwila, że tych dwoje ludzi, przenikliwie patrzących sobie w oczy, zatapiało się we wspomnieniach, jakie znikły wprawdzie bezpowrotnie, ale jakich nie zapomina się nigdy.

Pani de Contades tak była wzruszoną, że chustka wypadła jej z ręki. Gaston spostrzegł to, podniósł ją natychmiast i kłaniając się uniżenie oddał chustkę Estelli. Ona skorzystała z tej chwili i rzekła cicho, tak cicho, że nikt tego nie mógł inny posłyszeć:

— Po tylu latach ujrzałam cię wreszcie, ale nie spodziewałam się nigdy, że w takim cię ujrzę mundurze.

— Wróciłem z Egiptu razem z generałem Bonaparte—odparł również cicho.

— I w Egipcie zapomniałeś naturalnie o mnie zupełnie?

— Niczego nie zapomniałem!

— Niczego!? Więc i szczęście nasze też pamiętasz?

— Powtarzam, że *niczego* nie zapomniałem — powtórzył, a głos jego brzmiał wtedy ponuro, spoi-

rzał też na panią de Contades przenikliwie, ona zaś nic więcej nie odpowiedziała i nie odbierając nawet chustki, którą on ustawicznie trzymał w ręku, oddaliła się śpiesznie.

Gaston przez chwilę patrzył na odchodzącą i kiedy już chciał odejść, spotkał się oko w oko z generałem Bonaparte. Jeszcze poważniej niż zazwyczaj zapytał się Bonaparte:

— Czy przygotowałeś kolegów swoich z 9-go pułku?

— Wszyscy są wtajemniczeni i wszyscy się zgadzają.

— Dobrze zatem! W tych dniach rozmówię się z Muratem i Lannes'em, a cóż słychać o komendancie Paryża?

— Zdaje mi się, że z generałem Lefébvre trudna będzie sprawa.

— A jednak trzeba się będzie zabezpieczyć, Moreau bowiem lada dzień przejdzie na naszą stronę; Moreau to chorągiewka, która zawsze w tę stronę się obróci, zkąd wiatr wieje silniejszy.

Bonaparte mówił to wszystko szybko, lakonicznie, nie patrząc nawet na adjutanta swojego, któremu teraz więcej okazywał zaufania, aniżeli wypadało nawet ze względu na stanowisko Descampsa.

Generał poznał Descampsa pod Accon i od tego czasu tak polubił zawsze milczącego oficera, że gotów był wszystko przed nim odsłonić.

Myśli jakieś unosiły Bonapartego gdzieś daleko, patrzył przed siebie i nastała chwila długiego milczenia. Nagle generał, popatrzywszy uważnie na Descampsa, zapytał:

— Jakąż to chusteczkę trzymasz w ręku?

Gaston nic na to nie odpowiedział, Bonaparte zaś powtórzył z uśmiechem.

— Niezawodnie jakaś dama rzuciła to rycerzowi swojemu?

Descamps odzyskał krew zimną i odrzekł spokojnie, patrząc bystro w oczy swojego zwierzchnika:

— To chusteczka pani de Contades.

Bonaparte ściągnął brwi.

— Zkądże pan znasz tę kobietę?

— Znajomość nasza datuje się oddawna — odparł Descamps, zdecydowany na wszystko.

Gaston sądził, że inaczej przyjęte będzie to jego wyznanie, tymczasem Bonaparte uśmiechnął się wesoło i zawołał:

— Ah! jak to dobrze! musisz mi wszystko opowiedzieć dokładnie!

Podczas drogi do mieszkania generała Descamps opowiedział cały swój stosunek z panią de Contades, nie tając nic zgoła, a kiedy skończył, uczuł na swojem ramieniu rękę Bonapartego.

— Nie przerywaj stosunków z tą kobietą, ale daj mi przyrzeczenie, że odtąd każde słowo tej kobiety powtórzysz mi dokładnie, a wszystkie listy pokażesz mi w oryginale.

Gaston zawahał się i bąknął tylko:

— Panie generale!

— Przyrzeknij bez wahania, przecież w moim i twoim leży to interesie. Pani de Contades umie z popiołów wydobywać iskry, spróbujmy i my uczynić to samo.

— Zaręczam ci, generale, że wszystko pomię-

dzy mną a nią skończone, zresztą jest to osoba tak rozsądna...

— Tylko mi nie mów o rozsądku kobiecym! Kobieta ulega zawsze przemocy lub też udaje pokorę. Przyrzekasz mi zatem?

— Przyrzekam, generale!

— Mając taką broń w ręku, jestem spokojny, a jak widzisz przybyliśmy z Egiptu właśnie w samą porę. Teraz potrzeba nam rozpocząć wymiatanie śmieci!

ROZDZIAŁ XIII.

Rozmowa z generałem Bonaparte.

W domu generała Bonapartego działy się rzeczy, które słabem tylko były odbiciem dusznej atmosfery, jaka w tym czasie zapanowała w Paryżu całym.

Józefina powróciła z letniej siedziby swojej do mieszkania zajmowanego przy rue de Victoires i tu z biciem serca oczekiwała na powrót męża; czuła się ona winną, wiedziała też bardzo dobrze o tem, że bracia Napoleona zaczną przeciwko niej intrygować. Pomimo to lepiej wszystko poszło, aniżeli mogła się spodziewać; generał oburzył się wprawdzie w pierwszej chwili, ale uspokoił się szybko i pogodził z żoną, nie musiał mieć przeto dostatecznego dowodu. Od tej pory jednakże podejrzenie nurtować zaczęło Bonapartego, Józefina też nie mogła odetchnąć spokojnie, ustawicznie czując obawę przed wyniknąć mogącemi nieporozumieniami.

Odbiło się to wszystko na obliczu pięknej ko-

biety, gdy pewnego pochmurnego dnia październikowego siedziała w salonie dolnym mieszkania. Nikt z gości nie przybył dnia tego i tylko po południu zjawiła się Alicya Grosrenard. Generałowa lubiła młode dziewczę i chętnie słuchała opowiadań Alicyi. Pannie Grosrenard nie trudno było spostrzedz, że przyjaciółka jej i protektorka w dziwnie rozdrażnionem znajdowała się usposobieniu i że myśli jej skierowane są gdzieindziej, a opowiadania słucha bez zwykłej uwagi. Alicyi zdawało się, że rozumie powód tego rozdrażnienia, rzekła też z przymileniem:

— Nie powinnaś pani tak się kłopotać o pana generała, jeżeli bowiem ma wielu nieprzyjaciół, to i któżby ich nie miał na stanowisku tak wysokiem?

Józefina westchnęła.

— Gdybyż tylko o to chodziło! Mąż mój nigdy nie lękał się nieprzyjaciół.

— Mówił mi dziś ojciec—rzekła Alicya—iż pan generał całą Francyę ma za sobą i że nikt nie będzie śmiał uczynić mu nic złego.

— Moje dziecko, kto wie, czy generał nie powinien więcej bać się krewnych swoich i najbliższych przyjaciół!

— Nie rozumiem pani.

Józefina wstała, westchnęła raz jeszcze i serdecznie biorąc pannę Grosrenard w objęcia, pocałowała ją w czoło.

— Jakaś ty szczęśliwa, Alicyo, że nie wiesz nic o chmurach, jakie ciągle zbierają się nad nami! Zaledwie minęło jedno niebezpieczeństwo, już grozi

drugie. Dyrektoryat sam obawia się męża mojego i dlatego niepokoi go ustawicznie, a kiedy teraz wszyscy oficerowie, zebrani dość licznie w Paryżu, oznajmili, że oddają szpady swoje do rozporządzenia generała, wystarczyło to, ażeby zaniepokoił się ogół.

— Wistocie—zauważyła Alicya — nigdy jeszcze nie widziałam kawiarni tak przepełnionych, jak to bywa w ostatnich dniach.

— Zdajmy to wszystko lepiej na męża mojego, ty zaś raczej mów mi o sobie, bo widzę, że zmieniłaś się bardzo, pobladłaś w ostatnich tygodniach.

Młodę dziewczę zarumieniło się mimowolnie i rzekło z pewnem zakłopotaniem:

— Sama nie wiem, jaki mógłby być powód tej zmiany.

W tej chwili wszedł służący, oznajmiając, że jeden z adjutantów generała najpierw pytał się o niego, potem zaś kazał się zameldować pani.

Wystraszona, jak to bywało teraz ciągle, gdy otrzymywała jakieś wiadomości o mężu, Józefina kazała poprosić przybyłego.

Do salonu wszedł Gaston Descamps, kłaniając się z wielkim szacunkiem obu kobietom, Józefina zaś podeszła ku niemu z uśmiechem na ustach:

— Witam cię, obywatelu Descamps!

— Racz mi darować, obywatelko, że ci przeszkadzam, nie śmiałbym jednakże tego uczynić, gdyby to nie były interesa służbowe. Pan generał kazał mi stawić się u siebie o tej godzinie i poczekać w razie jego nieobecności.

— Mąż mój nie powrócił jeszcze z obiadu, na który był zaproszony przez dyrektora Gohiera.

Gospodyni domu przedstawiła młodego adjutanta Alicyi Grosrenard, która w milczeniu przypatrywała się pogodnemu i otwartemu obliczu oficera, uczuwając dla niego odrazu sympatyę.

— Bądź pan łaskaw przeczekać ten czas z nami razem, ja zaś pójdę zobaczyć do apartamentów męża, czy czasami nie przyszedł, nie dając mi znać o sobie.

W pokoju pozostała Alicya i Gaston, który usłyszawszy nazwisko Grosrenard, przypomniał sobie, że słyszał je wymienione przez Hektora, przyjrzał się też bacznie dziewczęciu o włosach jasnych, figurze zgrabnej i białych, pięknych rękach. Nie wiedział, czy to właśnie ona przykuła do siebie płochego wietrznika, a przyjaciela—Laringueta; tylu Grosrenardów może się znajdować w Paryżu, że przecież pomylić się łatwo, postanowił zatem wybadać Alicyę.

— Daruje mi pani, że się zapytam, czy to nie traf dziwny, iż podobne do tego, jakie pani nosisz nazwisko, posłyszałem przy samym wstępie moim do Paryża. Jeden z przyjaciół moich, którego oczywiście nie spotkałabyś pani nigdy w tym salonie, mówił mi o pannie Grosrenard. Czyby to była mowa o pani?

Popatrzyła na niego, czekając z niecierpliwością na dalsze słowa, on zaś dodał:

— O pannie Grosrenard mówił mi pan Laringuet.

Po wymienieniu tego nazwiska twarz Alicyi ożywiła się natychmiast:

— Pan de Laringuet? A więc panowie się znają?

— Jest to najlepszy mój przyjaciel.

Descamps zdziwił się wrażeniu, jakie odmalowało się na twarzy dziewczęcia przy wymienieniu nazwiska Hektora, Alicya zaś, poruszona cała, mówiła wesoło:

— Ah! jakże mnie to cieszy! Czy panowie dawno nie widzieliście się z sobą?

— Przed siedemnastu miesiącami, wyruszając do Egiptu, pozostawiłem Hektora w Paryżu, dopiero też po raz pierwszy ujrzałem go znów przed tygodniem; przez ten czas zmienił się bardzo.

Alicya przygryzła usta i po chwili zapytała:

— Czy to zmiana na niekorzyść?

— Rzeczywście, zmiana to niekorzystna dla niego.

— Czy zmianę ową przypisuje pan wpływom jakimkolwiek? — z zapartym oddechem pytała się dalej panna Grosrenard, podnosząc oczy na kapitana.

— Nie trudno mi odgadnąć, przeciwnie, łatwo poznać chorobę, którą się przedtem samemu przebywało! Hektor zagrzęznął zupełnie w owych kołach z Faubourg St. Germain, które możnaby zaiste porównać z kałużą, pełną wody cuchnącej. Tam konspiruje się z wrogiem Francyi, byle tylko zgubić Rzeczpospolitą, a co najniebezpieczniejsze, to, że główne nici tej intrygi trzyma w ręku swojem pewna kobieta.

— Pani de Contades!—zawołała Alicya, wstając nagle z fotelu.

— Tak jest! mówię o pani de Contades.

— Czy i ta kobieta jest panu znaną?

Gaston Descamps uśmiechnął się boleśnie i do piero po chwili odparł:

— Niestety! znam ją dobrze.

Młode dziewczę złożyło ręce, jak gdyby do modlitwy, gdy przybliżyło się do Gastona i mówiło błagalnie:

— Ah, panie, Opatrzność zesłała cię chyba, jeżeli bowiem prawdą jest, iż pan de Laringuet ufać może przyjaźni twojej, to dopomóż mi do wydobycia go ze szpon tej strasznej kobiety! On tam zginie niechybnie, a ja...—tu Alicya zawahała się przez chwilę i wreszcie rzekła z mocą—a ja go kocham!

Gaston ze współczuciem patrzył na ten wybuch, Alicya zaś, zarumieniona silnie, mówiła szybko:

— Gotowabym uczynić wszystko, ażeby go przywiązać do siebie, ale zawsze natrafiam na opór, którego przezwyciężyć nie mogę. Wszędzie i zawsze ta kobieta staje mi na przeszkodzie. Nie mam dość sił do podjęcia z nią walki, wyczerpałam się zupełnie i blizką już jestem obłędu, rozpaczy ..

W słowach tych odczuł Gaston łzy tajone, cała też postać młodego dziewczęcia drżała, uchwycił przeto jej rękę drobną i pocałował serdecznie.

— Będę pani dopomagał teraz—przemówił—tobie zależy na wyratowaniu kochanka, ja przyjaciela chcę wybawić od nieszczęścia, zawrzeć przeto musimy sojusz.

— Bądźmy przyjaciołmi odtąd — zawołała, uśmiechając się przez łzy i podając rękę Gastonowi.

— Przedewszystkiem proszę powiedzieć mi otwarcie, czy nie zauważyłaś pani, że Hektor w ostatnich

czasach jest niespokojny, że bywa często roztargniony.

— Naturalnie, że zauważyłam ten niepokój.

— Czy nie przypuszczasz pani, że Hektor zawikłany jest w spisek rojalistów, o którym teraz tak dużo mówi się w Paryżu? — powtórzył Gaston, bacznie przyglądając się pannie Grosrenard.

— Nietylko przypuszczam, ale mam nawet dowody przy sobie — zawołała pośpiesznie.

— Dowody? — zdumiony krzyknął Gaston.

Alicya wydobyła list, ten sam, który Hektor otrzymał od pani de Contades i który wysłać miał do Marsylii, list margrabiny do admirała Strafforda.

Gaston, odczytując ten list, nie umiał ukryć swojego przerażenia, natychmiast też zrozumiał całą wagę tego dowodu, stwierdzającego zdradę stanu nieprzyjaciół Bonapartego i konspirowanie z Anglią

— Ten papier istotnie niezmiernie obciążającym jest dokumentem — zawołał żywo. — Oddałaś pani nieopisane, niczem nieopłacone usługi nam i Francyi! W tej chwili muszę pokazać to generałowi.

— Komu?! — zapytała Alicya, która znów drżeć poczęła ze strachu.

— Generał Bonaparte musi się o tem natychmiast dowiedzieć! Chodźmy razem, niechże on sam podziękuje ci za ten podarunek!

Bonaparte, który w tej chwili nadszedł właśnie, zdumiał się niepomiernie, widząc adjutanta swojego, biegnącego szybko naprzód, podczas gdy za nim przestraszona i załzawiona kroczyła panna Grosrenard. Spotkanie nastąpiło w przedpokoju i Gaston

nie czekał nawet na wejście do salonu, ale odrazu przemówił głosem pewnym i silnym:

— Panie generale, mam ci do zakomunikowania kilka wiadomości niezmiernej wagi, wiadomości te zaś zawdzięczam tej oto obywatelce — dodał, kłaniając się nizko przed Alicyą.

— Wejdźmy przynajmniej do mojego gabinetu— rzekł generał, śmiejąc się wesoło.

W gabinecie, gdzie nikt nie mógł przeszkadzać rozmowie, Bonaparte zimno zwrócił się do Gastona:

— Wiesz o tem, że nawet minuty nie mamy do stracenia, przypuszczam więc, że naprawdę musisz mieć coś bardzo ważnego do zakomunikowania.

— Generale! to, czego się w tej chwili dowiesz odemnie, zada stronnikom Bourbonów cios daleko silniejszy, aniżeliby sprawić mogła największa bitwa wygrana. Mamy dowód, że chciano cię oddać w ręce floty angielskiej.

— Ha! łotry! — krzyknął Bonaparte — pokaż ten dowód!

Gaston podał mu list, który generał przebiegł szybko oczami, a po przeczytaniu rzucił gwałtownie na stół.

— Wiedziałem, że zdradzają — mruknął przez zęby — ale teraz nie ujdą już kary!

Z rękoma założonemi na piersiach Bonaparte szybko chodzić zaczął po pokoju i od czasu do czasu padały z ust jego wyrazy urywane. Znać było w nim wielkie wzburzenie, oczy ciskały iskry, nie troszczył się też wcale o obecnych w pokoju.

— Boże! co pan uczyniłeś — szepnęła Alicya trwożnie — a jeżeli to Hektorowi...

Nie dokończyła, przerwał jej bowiem Gaston uspokajająco:

— Jedyny to środek wyrwania Hektora z tego towarzystwa! Z chwilą, gdy pani de Contades i wszyscy jej zwolennicy postawieni będą pod pręgierz opinii publicznej jako zdrajcy kraju, z tą chwilą Hektor, który dobrym jest bądź co bądź Francuzem, z obrzydzeniem odwróci się od nich.

Słowa te zdawały się ją przekonywać, pomimo to rzekła jednakże ze strachem:

— Przysięgnij mi pan, że Hektor zawsze wyjdzie cało! Gdyby go miano prześladować, to... to... życiebym sobie odebrała.

Gaston uśmiechnął się wesoło.

— Niechaj się pani o to nie martwi, będę czuwał nad nim zawsze, a zresztą nikt jeszcze nie wymienił jego nazwiska.

Zamilkli nagle, generał bowiem zbliżył się ku nim i rzekł, bystro spoglądając w oczy Alicyi:

— Od kogo otrzymałaś pani ten list?

Panna Grosrenard zadrżała pod wpływem wzroku Bonapartego, ale odzyskawszy przytomność umysłu, odparła śmiało:

— Nie mogę wymienić nazwiska, w każdym razie zaręczam, że jest to ktoś wtajemniczony we wszystko.

— Więc ten ktoś jest ci blizkim, panno Alicyo?

Zarumieniła się cała, co widząc Gaston, uważał za stosowne przyjść dziewczęciu z pomocą:

— Racz zrozumieć, panie generale, że skoro tą

obywatelka oddała nam takie wielkie usługi, to ma prawo żądać, ażeby nie stało się nic człowiekowi, który mógłby być również karany.

Bonaparte skinął głową na znak, że przekonywa go ten argument, nie nalegał też więcej, ale przeciwnie, z pewną serdecznością nawet podał rękę Alicyi.

— Jestem pani niezmiernie wdzięczny, a chociaż wiedziałem, że zawsze byłaś przyjaciółką naszą, to jednak odtąd stajesz się czemś więcej, bo osobą najzaufańszą w domu moim. Proszę jednakże o milczenie bezwzględne, nawet ojciec twój nie może o tem się dowiedzieć. Niezadługo wszystko się wyjaśni, a wtedy sąd na nieprzyjaciół zwołam jawnie, wyrok zaś będzie dla nich straszliwy.

Tyle było siły w głosie Bonapartego, że Gaston ciekawie spojrzał na niego i dostrzegł, iż generał nie rzuca słów tych na wiatr, ale przygotowuje coś bardzo ważnego.

Alicya oddaliła się, przeprowadzona do apartamentów Józefiny przez Descampsa, który powrócił do gabinetu zwierzchnika swojego. Generał przewracał rozmaite papiery na biurku, wreszcie wyciągnął jakiś list i pokazał go Gastonowi.

— Patrz teraz, jak to się wszystko zgadza z sobą. W tym liście ostrzega mnie Sydney Smith, który sam potępia perfidyę rządu angielskiego, przed niejakim Eltonem, kręcącym się od kilku miesięcy po Paryżu. Ten Elton bywał nawet podobno w moim domu, a ciekawe doprawdy szczegóły doniósł mi Smith.

Generał rzucił list na stół i rzekł:

— W liście, który otrzymaliśmy teraz, znajduję to samo nazwisko. Ów Elton jest szpiegiem Pitta i agentem hrabiego Artois, tak zaś zgrabnie umiał się urządzać podczas nieobecności mojej, że nikt nie ma nawet pojęcia o tem, jaki to jest ptaszek. Ale potrafię zaprowadzić porządek—zawołał, wpadając w coraz większe wzburzenie—dziś jeszcze, dziś weźmiemy się do rzeczy!

Bonaparte szybko chodził po pokoju, wreszcie przystanął i rzekł donośnie:

— Zostań pan u nas przez dzisiejszy wieczór. Niezadługo do żony mojej schodzić się zaczną goście. Pomówię parę słów z tym panem Anglikiem, a ręczę, że wysłańcy Bourbonów żałować będą, iż nawet do domu mojego nie wahali się wtargnąć!

W godzinę później Józefina, blada i dziwnie roztargniona, przyjmowała w salonie swoim gości, którzy zazwyczaj przybywali w każdy czwartek. Obok niej na nizkim fotelu usiadła Alicya, za nią zaś stał Gaston i od czasu do czasu zamieniał z panną Grosrenard słów kilka.

Na kilka minut przed godziną przyjęć zjawił się także generał Bonaparte i nadzwyczaj swobodnie rozmawiał z generałem Regnault i panem Fouché, którego twarz gładka, bez brody i wąsów, przypominała raczej akrobatę, niż przyszłego męża stanu. Obecność Fouché'go uspakajała Józefinę, był to bowiem jedyny człowiek, który nigdy nic złego nie mówił o niej.

Salon zaczął się powoli zapełniać; przybywali wojskowi, artyści, literaci, jak Legouvé i Arnault, oraz nielicznie zjawiły się kobiety. Kto jednakże znał towarzystwo, jakie zwykło się było zbierać

podczas nieobecności generała, ten wiedział, że ci, którzy rozweselali wszystko, nie stawili się teraz.

Zmieniło się dużo w bardzo krótkim przeciągu czasu; nawet ton zapanował inny. Miejsce pogawędki wesołej zajęła pewna nieufność i oczekiwanie. Nawet najmniejszy wyraz kontrolowany był uważnie, a kiedy sam generał zabrał głos, to wtedy milkły rozmowy i wszyscy słuchali pilnie. Wszyscy patrzyli na niego jak na sfinksa, jak gdyby oczekiwali, czy z ust jego nie padnie jakie słowo zwiastujące katastrofę. Ale Bonaparte nie zadawał sobie żadnego przymusu, swobodnie rozmawiał ze wszystkimi, od Regnaulta przechodził do Talleyranda, od Talleyranda do Arnaulta. Szczególniej z tym poetą rozmawiał długo i rzecz dziwna doprawdy, że tematem pogawędki był Homer i Osyan. Wielki znawca i zwolennik Osyana cytował długie ustępy, wreszcie śmiejąc się, rzekł:

— Ten wasz Homer nigdy nie potrafił tak oddać aż do głębi namiętności ludzkiej, jak Osyan, a przecież poeta powinien podnosić i rozumieć wszystko, co wyższe i co poziome jest w duszy ludzkiej.

Zdawałoby się, że w tym dniu generała nie interesowało nic więcej, jak tylko Homer, Osyan i najnowszy utwór Legouvégo „Agamemnon". Nikt też nie posłyszał, gdy w ciągu tej gorącej rozmowy generał szepnął do ucha Arnaulta:

— Czy proklamacyę do miasta Paryża masz pan już gotową?

Arnault skinął tylko głową na znak potwierdzenia.

— Nasz generał w doskonałym jest dzisiaj hu-

morze — zauważył Legouvé, zwracając się do Fouché'go.

— Hm! coś w tem jest! przed chwilą śpiewał nawet jakąś aryę — odparł Fouché.

— Masz racyę, coś w tem jest, Bonaparte aryę śpiewał.

Wtajemniczeni wiedzieli, że ile razy Bonaparte zaśpiewał jakąś melodyę, a śpiewał zawsze fałszywie, to wtedy w jak najgorszym bywał humorze, wtedy też strzedz go się było trzeba. Na wesołość udaną patrzono bardzo podejrzliwie i niespokojnie.

Bonaparte skinął na swojego adjutanta i szepnął mu do ucha.

— W którym dniu mają oficerowie być gotowi?

— 16-go Brumaira — odparł Descamps również szeptem.

— To stanowczo za późno! Trzeba im oznajmić, ażeby najpóźniej byli gotowi 12-go.

— Nie radzę tego czynić — wtrącił Gaston — Bernadotte po 12-tym dopiero oddali się z Paryża.

Bonaparte rozważał coś przez chwilę, wreszcie rzekł:

— Uwaga twoja jest słuszną, pilnuj więc teraz, ażeby wszystko odbyło się w porządku. Czy nasz Anglik jeszcze się nie pojawił?

— Właśnie widzę, że wszedł do salonu.

Wistocie Elton, ubrany z wyszukaną elegancyą, wyperfumowany, wszedł do salonu, składając na wstępie nizki ukłon bohaterowi z Włoch, którego po raz pierwszy miał sposobność widzieć zblizka.

Bonaparte bystro spojrzał na Anglika, pomimo to jednak zapytał jak najgrzeczniej:

— Podobno przybyłeś pan do Paryża, ażeby poznać bliżej miasto nasze?

— Paryż, a zwłaszcza paryżanki—odparł Elton swobodnie — warte są zawsze bliższego poznania, a my biedacy, przedzieleni kanałem od Francyi, nie umiemy się bawić równie wesoło.

Bonaparte uśmiechnął się tak swobodnie, jak gdyby przyjemność znajdował w towarzystwie tego epikurejczyka, Alicya natomiast drżała na całem ciele. Spostrzegł to Descamps i pochylając się nad nią, szepnął:

— Dopóki Bonaparte patrzy w oczy Anglika, to jeszcze nie ma się czego obawiać, gorzej jednakże będzie, gdy ręce założywszy na piersi, rozglądać się zacznie po suficie, wtedy dopiero piorunów oczekiwać należy.

Elton ani przypuszczał, z kim ma do czynienia, przeciwnie nie wyobrażał sobie nawet, ażeby ten generał, którego przedstawiano mu zawsze jako ponurego człowieka, mógł być tak miłym. Elton nie zauważył też, że Bonaparte bawi się z nim jak kot z myszą, gdy go wypytuje o podróże, przygody miłosne i t. p.

— Czy w Niemczech nie byłeś pan dotąd? — przerwał Bonaparte opowiadanie Anglika o podróży po krajach północnych.

— Unikałem Niemiec — odparł Elton z uśmiechem — lubię bowiem tylko te kraje, gdzie się dobrze można zabawić.

— To prawda, że w Niemczech jedna tylko

była rzecz zabawna w ostatnich czasach, kongres w Rasztacie.

— Wolałbym wysłuchać kazania pastora, niż mów po kongresach — zaśmiał się Elton.

Nagle urwał Bonaparte i przechadzać się zaczął po pokoju, po chwili jednakże znów przystanął i rzekł złośliwie:

— Czy nie sądzisz pan, że u nas najlepiejby się można zabawić w klubie Jakobinów?

— Jakobini, o ile wiem, miłymi są ludźmi.

— Nie radzę panu kochać tych ludzi, mógłby się bowiem na pana rozgniewać Pitt, podług którego wskazówek musisz przecie postępować w Paryżu.

Elton stał się nagle bladym jak kreda i bąknął tylko:

— Pitt... nie jest moim zwierzchnikiem.

— Czyżbym się miał mylić? — ironicznie przerwał Bonaparte — to byłoby doprawdy dziwne! Przecież mówię z panem Henrykiem Stefanem Eltonem, agentem rządu angielskiego, uwierzytelnionym przy hrabi Artois. Przybyłeś pan do Paryża, ażeby dopomódz Bourbonom do powrotu na tron francuski i służbę swoją szpiegowską rozpościerasz nawet na mój dom.

W salonie ucichła wszelka rozmowa, wszyscy oczy swe zwrócili na Bonapartego, kobiety zaś z bijącemi sercami oczekiwały na wynik tej sceny.

Elton, zawsze zimny i stanowczy, tym razem stracił zupełnie pewność siebie, a widząc, że odrazu zdarto mu maskę, drżeć zaczął na całem ciele.

Bonaparte stał się już teraz nieubłaganym i glo-

sem, który zwiastował nadchodzącą burzę, mówił donośnie:

— Czy sądziłeś, że bezkarnie ujdzie ci postępowanie twoje w Paryżu? Wiedz zatem, że wspaniałomyślny nieprzyjaciel mój, admirał Sydney Smith, ostrzegł mnie przed tobą, reszty zaś dokonały odkrycia tej oto obywatelki!

To mówiąc, Bonaparte wskazał na Alicyę Grosrenard, która zarumieniona, nie śmiała podnieść oczu.

— Dzięki tym dwojgu ludziom zdradę odkryłem w porę. Wyborny był twój plan, panie Elton, chciałeś mnie przecież oddać w ręce Strafforda i floty angielskiej!

W Anglika zdawało się zwolna wstępować życie, odwrócił głowę i bacznie przyglądając się Alicyi, rzekł cicho:

— Panie generale...

— Milcz! — krzyknął Bonaparte piorunująco — spoliczkowałbym cię, gdybym nie chciał ręki swojej zabrudzić! Wyrzutkiem jesteś nawet pomiędzy Anglikami, nawet w tym narodzie, który zawsze zwykł postępować po złodziejsku!

Bonaparte zwrócił się teraz do całego towarzystwa:

— Czy wiecie, kogo przyjmowaliście tak uprzejmie w waszem towarzystwie, dla kogo byliście tacy serdeczni? Ten elegant, ten miły młodzieniec, jest szpiegiem, który dwa razy na tydzień listy cyfrowane wysyła do Londynu, jest mordercą, który dwóch zacnych oficerów armii naszej zgładził w sposób ohydny, jest złodziejem i rozbójnikiem, utrzymującym

całą kohortę podobnych sobie zbrodniarzy. Ten pan płaci dobrze i nie przebiera w środkach, ale na szczęście, wpadły mi w rękę dowody, a prawa nasze są dość silne, ażeby odpowiednio ukarać podobnych zbrodniarzy.

Wrażenie, jakie uczyniły słowa Bonapartego, odbiło się na wszystkich twarzach, z pogardą też spoglądano na Anglika, który stał blady, nie śmiejąc się ruszyć z miejsca. Elton czuł, że stracił zupełnie grunt pod nogami, nie śmiał się nawet bronić.

Bonaparte, podług wschodniego obyczaju, klasnął w ręce dwukrotnie i do salonu weszło dwóch ordynansów z dobytemi z pochwy pałaszami.

— Bierzcie tego człowieka, zaprowadźcie go do pokoju mojego i pilnujcie aż do chwili, gdy zjawi się policya. Srogo będziecie odpowiedzialni, gdybyście pozwolili z kimkolwiekbądź rozmawiać temu człowiekowi!

Żołnierze schwycili natychmiast Eltona za ręce i bez żadnego z jego strony oporu odprowadzili Anglika do gabinetu generała.

W salonie zaczęto już szeptać i ogólne zdumienie znikało powoli, jeden tylko Fouché bacznie przyglądał się Bonapartemu, jak gdyby chciał dociec, czy gniew generała jest udany, czy też prawdziwy, ale Bonaparte powrócił znów do dawniejszej swobody, oglądając się zaś wkoło, rzekł dobitnie:

— To dopiero pierwszy, wspólnicy jego później będą odkryci.

I znów zwrócił się do Arnaulta:

— Czy nie miałem racyi, że dzisiaj poeci ina-

czej zgłębiać powinni naturę ludzką, niż to było za czasów Homera?

. . . . . .

Elton, zdemaskowany najniespodziewaniej przez Bonapartego, zdawał sobie dokładnie sprawę, że teraz nie pomoże mu ani opór, ani protest, całą też nadzieję pokładał jedynie w tem, że rojaliści, dowiedziawszy się o jego uwięzieniu, wykonają zamach, który Bonapartego obali stanowczo. Ażeby tego dokonać, potrzeba było przedewszystkiem zawiadomić panią de Contades, kiedy go też żołnierze przeprowadzali przez korytarz, ujrzał przez otwarte okno powóz swój i siedzącego na koźle stangreta Natychmiast wydobył z kieszeni zwój papierów, a nakreśliwszy kilka wyrazów ołówkiem, rzucił je do powozu, krzyknąwszy równocześnie kilka wyrazów w języku angielskim.

Wszystko to stało się tak nagle, że żołnierze nie zdążyli mu przeszkodzić.

Stangret zaciął konie i pędem ruszył przez ulicę, Elton zaś, którego żołnierze przemocą odciągnęli od okna, rozśmiał się drwiąco:

— Teraz jestem na wasze rozkazy, moi panowie!

ROZDZIAŁ XIV.

W drzwiach restauracyi.

Przez dwa tygodnie nie widział Hektor Alicyi, dłużej jednakże nie mógł już wytrzymać bez jej towarzystwa, siadł przeto i napisał, iż pragnąłby ją zobaczyć na koncercie Feydeau. Zdumiał się młody Laringuet, gdy na to zaproszenie otrzymał odpowiedź, napisaną w tonie ostrym. Alicya doniosła, że nie ma zwyczaju spotykać się w salach koncertowych, gdzie mogłaby zastać osoby z Faubourg St. Germain, którym przecież nie przedstawiłby córki zwykłego przedsiębiorcy budowlanego.

Hektor zrozumiał ten skrupuł i nie odpowiedział nic więcej. Pewnego dnia jednakże Alicya, wychodząc z najmodniejszej cukierni Garthe'go, ujrzała stojącego na przeciwległym chodniku Hektora.

Pewny siebie, jak gdyby nic nigdy pomiędzy nimi nie zaszło, młody Laringuet podszedł do niej, ukłonił się grzecznie i zapytał, czy może jej towarzyszyć. Panna Grosrenard, opanowana jego wzro-

kiem, podała mu rękę i poszli razem. Hektor uśmiechał się z ironią i przybierając ton wesoły, zapytał:

— Czy nie prawda, że osobliwsze ze mnie indywiduum? Choćbym chciał, nie umiem wyrzec się miłości ku tobie.

Spojrzała na niego z boku i rzekła poważnie:

— W miłość pańską możebym i uwierzyła nawet, ale w jedną rzecz uwierzyć mi trudno.

— W cóż to takiego?

— Nie wierzę w siłę woli i w charakter pana.

— Z czegóż to wnosisz?

— Gdybyś pan miał charakter wyrobiony, to postanowiłbyś ratować resztki swojej egzystencyi.

Hektor wzruszył ramionami.

— Trudno! Innym już nie będę. Życie nasze niewarte trudów.

Zadumał się przez chwilę, a potem innym już głosem rzekł:

— Może masz pani racyę. Lud prosty mówi, że komu raz w życiu ukazał się upiór, ten już nigdy nie może być wesołym, a ja upiora takiego widziałem w życiu. Było to dawno, za czasów mojej młodości. Od tej chwili zapomniałem śmiać się serdecznie i życia nie biorę już na seryo.

Zamilknął, ona zaś czulej niż zwykle spoglądała na niego:

— Od jakiegoś czasu blady jesteś i roztrojony —rzekła—czy panu nie dolega coś bardzo?

Hektor stał się znów drwiący.

— Ba! któżby nie był zdenerwowanym teraz w Paryżu? Jakaś epidemia grasuje i jeden zaraża się od drugiego. Doprawdy, nudne to już być za-

czyna; na ulicach nie słyszy się nic więcej, jak tylko rozmowy o generale Bonaparte.

— Grasz pan znów komedyę, nie tu leży powód twojego roztargnienia.

Przechodzili obok Palais Royal i Hektor zatrzymał się, prosząc towarzyszkę swoją o wejście z nim razem dla orzeźwienia się czemkolwiek. Po długich wahaniach Alicya zgodziła się na propozycyę i Hektor po wspaniałych schodach poprowadził ją do bogato złoconych salonów pierwszego piętra. Młodemu dziewczęciu wszystko tutaj wydało się nowem, z początku też siedziała onieśmielona, ale wkrótce wróciła jej zwykła swoboda.

Kiedy przyniesiono butelkę wina, rzekł Hektor:

— W ostatnich czasach znalazł się ktoś drugi, który chciał leczyć chorą duszę moją. Codziennie prawie przyjaciel mój Gaston wkłada mi w uszy same nauki moralne.

— Gaston, który to Gaston? — zapytała zdumiona.

— Gaston Descamps —odparł — kapitan i adjutant Bonapartego.

— Znam go—wymknęło się z ust Alicyi.

— Znasz go?—zdziwiony rzekł Hektor.

Alicya opowiedziała mu, że na salonach Józefiny spotkała Gastona Descampsa, przemilczała jednakże wszystko inne, ale Hektor nie słuchał już jej prawie wcale, zainteresował go bowiem szmer dochodzący jego uszu z przyległego pokoju.

Ściany w lokalach restauracyjnych bywają zazwyczaj bardzo cienkie, można więc słyszeć wszystko dokładnie, co się dzieje obok. Hektor słuchał pil-

nie, a kiedy głosy wydały mu się znajome, przybliżył się do ściany i łowił wszelkie wyrazy.

— Co to jest?—mruknął sam do siebie—przecież to głos pani Contades i Barrasa.

Nie mylił się bynajmniej; w dniu tym właśnie sprzysiężeni rojaliści naznaczyli sobie schadzkę w jednej z sal, przyległej do pokoju, w którym znajdował się w tej chwili Hektor z Alicyą. Posiedzenie musiało być ważne, przybyła bowiem na nie nawet sama pani de Contades, która natychmiast zawiadomiła zebranych o uwięzieniu Eltona w domu Bonapartego. Wiadomość ta wywołała ogólne osłupienie i przygnębienie.

Hektor słuchał uważnie i poznał, że zdania ścierają się ustawicznie i że wogóle posiedzenie jest burzliwe. Głównie czyniono zarzuty dyrektorowi Barrasowi, który, zdaniem zebranych, powinien był dawno wystąpić przeciwko Bonapartemu energicznie.

— Niechaj-że pan pamięta—rzekła pani de Contades—że konwent człowieka, który opuścił armię swoją, posłałby był pod nóż gilotyny! Dyrektoryat powinien uczynić to samo, czy bowiem sądzicie, panowie, że Bonaparte będzie was oszczędzał, gdy dojdzie do władzy?

Barras zaśmiał się pogardliwie.

— On miałby dojść do władzy? Nie śmie nawet marzyć o tem!

— Zobaczycie, na jaki krok zdobędzie się ten człowiek—groziła Estella, Grandmaison zaś krzyknął wzburzony:

— Wpływ tego człowieka trzeba zgnieść koniecznie, zwłaszcza, że Moreau opuścił nas stanowczo!

— Nietylko Moreau — przerwała pani de Contades—ale nawet Sieyés kazał mi dzisiaj rano powiedzieć, że od powrotu Bonapartego zmieniło się wszystko i że o powołaniu Bourbonów na tron nie może być mowy na razie. Oto, coście uczynili przez swoje zwlekanie ustawiczne!

Barras wzruszył tylko ramionami, a głos jego brzmiał apatycznie; wyglądał, jak człowiek znużony, który nie myśli bronić władzy, jaka mu się z rąk usuwała.

— I cóż ja na to pomogę?—zapytał wreszcie.

Pani de Contades zmarszczyła brwi i zawołała energicznie:

— I pan nie wiesz, co teraz tobie wypada uczynić? Przedewszystkiem należy Bonapartemu wytoczyć sprawę o ucieczkę z pod chorągwi i uwięzić go natychmiast!

— To niemożliwe, tego uczynić nie mogę!

— Powiedz pan raczej, że uczynić nie chcesz.

Barras udał obrażonego.

— Nie należę do tych ludzi, którzy łamią dane słowo, widzę jednak, że to, czego żądacie odemnie, jest nierozumne. Dyrektoryat przegłosowanyby został natychmiast, gdyby się odważył na krok taki.

Estella zaśmiała się pogardliwie:

— Ten wasz Dyrektoryat zawsze będzie przegłosowany, stał się on niemożliwym w Paryżu, ale teraz zależy tylko na tem, ażeby jasno sobie zdać sprawę: czy lepiej bić drugich, czy też być bitym samemu.

Barras odpowiedział ni to, ni owo, unikał wi-

docznie stanowczej decyzyi i po kilku minutach opuścił zgromadzenie, na pozór gniewny i obrażony.

Po jego odejściu rzekła pani de Contades.

— Gdyby ten Bonaparte rozporządzał pieniędzmi, to powiedziałabym, że przekupił Barrasa, Moreau'a i Sieyés'a, od czasu bowiem powrotu generała ci ludzie nie chcą słyszeć o niczem.

— Ależ czego tu się tak bardzo obawiać?—zawołał jeden ze starszych deputowanych—cóż wreszcie uczynić może taki pojedyńczy generał, który, jak słyszę, człowiekiem jest spokojnym i małe tylko kółko znajomych przyjmuje u siebie?

— Bardzo słuszna uwaga—dodał ktoś drugi—przecież, gdyby ten człowiek chciał postępować wbrew prawu, to możnaby go w każdej chwili aresztować!

Tego już pani de Contades było za wiele, wybuchnęła przeto śmiechem głośnym, w którym zawarł się gniew i pogarda dla otoczenia.

— Sami nie zdajecie sobie sprawy z tego, co mówicie! Wy go chcecie aresztować, wy, którzy tylko umiecie dyskutować i lamentować, ale do czynu stanowczego nie jesteście zdolni! Ten człowiek o żółtej skórze, mały wzrostem, ale wielki energią, ten człowiek, jedyny może dzisiaj w Paryżu, wie, do czego dąży! Przecież on się z wami bawi jak kot z myszą! Wam się zdaje, że on tylko słucha i milczy, on zaś tymczasem patrzy także dobrze i po cichu coraz więcej zbliża się do celu. Nie ustraszy się Bonaparte prawa i sprawiedliwości, dla niego istnieje tylko ogień i miecz. Jeżeli Rzeczpospolita chce się uratować, to potrzeba przedewszystkiem Bonapartego postawić na placu i do żołnierzy zakomen-

derować: „ognia!“ ażeby mu co najmniej sześć kulek wpakowali w głowę.

Mówiąc to, Estella drżała na całem ciele; nienawiść do Bonapartego wybuchnęła teraz już bez żadnego krępowania. Zwykle spokojna i rozważna, tym razem dała się unieść, co zdumiało wprost otoczenie całe.

Pierwszy przerwał milczenie Armand de Vitry:

— Przesadzasz pani! Przyznaję, że powrót Bonapartego mógł w pierwszej chwili nas zaniepokoić, jednakże przekonany jestem, że ten człowiek nie marzy nawet o władzy.

Grandmaison uważnie przyglądał się kobiecie i rzekł, przenikliwie patrząc w jej oczy:

— Widzę, że bardzo nienawidzieć musisz pani tego człowieka.

— Tak jest, nienawidzę go z całej duszy! To człowiek, który nami pogardza i zawsze tak postępuje brutalnie, jak gdyby miał prawo nam rozkazywać, nienawidzę jego chodu, jego mowy, jego zachowania się w towarzystwie, nienawidzę nawet jego akcentu korsykańskiego!

Grandmaison uśmiechał się pod wąsem, argumenta te bowiem były aż zanadto—kobiece, przerwał jednakże ten wybuch uwagą:

— Pomimo całej nienawiści swojej, musisz pani wszakże przyznać, że w tej chwili Bonaparte potęgą jest w Paryżu. Położenie nasze bardzo teraz stało się niebezpieczne od chwili aresztowania Eltona.

Pani de Contades zerwała się nagle z krzesła:

— Pomiędzy nami musi się znajdować ktoś, co nas zdradza, trzeba odszukać tego zdrajcę!

Spojrzano po sobie, twarze się zasępiły i rozległy się gniewne okrzyki:

— Niewolno rzucać podejrzeń!

— A jednak, zaręczam panom—odparła zimno— że pomiędzy nami znajduje się zdrajca. Biedny Elton zdołał nadesłać mi kartkę i kilka ważnych listów, które miał w chwili aresztowania przy sobie. W kartce powiada, że list mój, pisany do admirała Strafforda dostał się do rąk Bonapartego za pośrednictwem panny Alicyi Grosrenard. Ponieważ nie dałam listu tego nikomu więcej, jak tylko dotychczasowemu przyjacielowi domu mojego i zwolennikowi sprawy naszej, przeto nie mogę na nikogo innego rzucać podejrzenia, jak tylko na Hektora de Laringuet. Znane są stosunki jego z panną Grosrenard...

Pani de Contades chciała mówić coś więcej, ale w tejże samej chwili posłyszano krzyk w przyległym pokoju i hałas, powstały jak gdyby od wywracanych gwałtownie mebli. Zastanowiło to wszystkich, ale jeszcze więcej zdumieli się zebrani, gdy nagle drzwi się otworzyły gwałtownie i na progu ukazał się Hektor z twarzą czerwoną i oczyma nabiegłemi krwią. Za nim biegło młode dziewczę, czepiając się gwałtownie jego ramienia, ale on je odtrącił.

Alicya z przestrachem przysłuchiwała się rozmowie, prowadzonej w drugim pokoju, nogi drżały pod nią i kilkakrotnie próbowała nakłonić Hektora do opuszczenia restauracyi, on jednakże uparł się i słuchał dalej. Nagle posłyszała krzyk wściekły Hektora, który, nie zważając wcale na jej obecność, wypadł z pokoju, a stanąwszy wobec zgromadzonych, krzyknął:

— Kto się ośmiela Hektora Laringueta nazywać zdrajcą...

Ujrzawszy obok Hektora pannę Grosrenard, uśmiechnęła się pani de Contades i rzekła zimno:

— Niechajże się pan zatem usprawiedliwi, wszelkie pozory są przeciwko tobie.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wysunęła się naprzód Alicya, która zrozumiała, że tylko przyznanie się z jej strony uratować go może.

— Pan de Laringuet jest niewinny!—krzyknęła— ja to sama jedna oddałam list ten w ręce generała.

Odwaga młodego dziewczęcia nie zaimponowała zgromadzeniu, ze wszystkich stron posypały się na nią przekleństwa, Hektor zaś się kredowo blady, przyskoczył do niej i szarpać zaczął gwałtownie.

— Ty!... ty śmiałaś to uczynić!...

Z bólu upadła na kolana.

— Myślałam, że ten list inną treść zawiera, przypuszczałam, że to jakaś sprawa miłosna i zazdrość mnie porwała. Otworzyłam kopertę, wyjęłam list i włożyłam napowrót kawałek pustego papieru.

Hektor spojrzał na nią tak groźnie, że zadrżała z przerażenia; pani de Contades uśmiechała się pogardliwie.

— Kłamiesz!—krzyknął—nie oszukasz mnie teraz! Jesteś szpiegiem Bonapartego!

Alicya krzyknęła przeraźliwie, on zaś wołał dalej głosem ochrypłym:

— Bonaparte kazał ci szpiegować i denuncyować!

Pani de Contades przerwała, a każdy jej wyraz jak stal był ostry i jak lód zimny.

— Widzisz teraz, panie Hektorze, że to nieodrodna córka ojca swojego, potrafi już interesa na swój własny prowadzić rachunek.

— Pani—rzekł Laringuet, kłaniając się nizko— moja to wina, że stało się takie nieszczęście, ale odtąd życie moje wyłącznie do ciebie należy, racz mi też zapomnieć, że mogłem nawet przez chwilę obcować z podobnie nędznym gatunkiem ludzi.

Wskazał ręką na Alicyę, która najprzód błędnemi patrzyła na niego oczami, potem zaś załkała rzewnie:

— Boże! w głowie mi się mąci! Miej-że litość nademną i niepatrz tak na mnie Hektorze, bo jeżeli zbłądziłam, to tylko przez miłość dla ciebie... Umrę, gdy tego zażądasz, ale przysięgam ci, że jestem niewinną, że nie chciałam cię zdradzić....

Hektor niewzruszony gotów się był rzucić nawet na błagającą litości Alicyę, ale pani de Contades odciągnęła go i w towarzystwie Estelli wyszedł z pokoju.

Alicya krzyknęła tylko rozpaczliwie i padła zemdlona.

Jeszcze w przedpokoju stronnicy króla rozmawiali długo i znać było, że nawet pomiędzy nimi powstały niesnaski. Podzielili się na dwa obozy, chociaż zgadzali się na to, że ani na Barrasa, ani na Moreaua nie można liczyć, że zatem trzeba wyszukać człowieka, któryby zrównoważył wpływy jednego i drugiego. Niemniej od innych zdawała sobie sprawę z tego pani de Contades, rzekła też krótko:

— Jeżeli Dyrektoryat niema odwagi usunąć Bonapartego, to będziemy musieli odnaleźć generała na

tyle odważnego, ażeby rzucił się na tego Korsykanina. Musi to być jednak człowiek żądny sławy, a przedewszystkiem zazdroszczący powodzenia Bonapartemu. Na szczęście, mam takiego pod ręką, bawi on nawet w tej chwili w Paryżu.

Wszyscy spojrzeli zdumieni jakby wzrokiem pytali, kogo energiczna kobieta ma na myśli; ona zaś zaśmiała się tylko i kończąc zdanie swoje, dodała:

— Tym człowiekiem jest Bernadotte, były minister wojny.

Słowa te wywołały entuzyazm, znano bowiem ministra jako człowieka przedsiębiorczego, gotowego ważyć się na wszystko, a głównie jako zaciętego wroga Bonapartego.

— Natychmiast rozpocznę z nim rokowania— zawołała pani de Contades, Grandmaison zaś zapewnił:

— Co do mnie, mam nadzieję, że znajdę jeszcze kilku odważnych deputowanych, którzy w Radzie Pięciuset postawią wniosek, oskarżający Bonapartego o zdradę stanu.

— Na panu polegam zawsze, tymczasem jednak zanim się pan porozumiesz z deputowanymi, sięgnę po jedną strzałę jeszcze, którą posiadam w kołczanie.

— Jakaż to strzała?

— Nie bądźcie panowie tak ciekawi, zresztą jest to robota kobieca, nie mająca z polityką na pozór nic wspólnego.

— Zaciekawiasz nas pani!

— Trzeba być cierpliwym, a gdy ta strzała wywrze swój skutek, dowiecie się o wszystkiem. To jedno powiem wam tylko, że Bonaparte nie jest

wcale podobny do przeciętnych ludzi, kto zaś w niego chce ugodzić, ten musi wiedzieć dokładnie, gdzie celować. Mnie się zdaje, że znam piętę Achilesową Bonapartego. Poczciwy Elton! sam niechybnie będzie zgubiony, ale zdążył mi pozostawić coś takiego, co musi wzburzyć krew w generale i może wtedy Bonaparte przestanie być szkodliwym!...

ROZDZIAŁ XV.

Robota kobieca.

— Dobrze zatem! Konstytucya sama daje nam środki w ręce.

— I my dzięki konstytucyi, pozbędziemy się konstytucyi...

Bonaparte spojrzał na Talleyranda, ale ten zimny był zupełnie, bo i któż kiedy najmniejsze wzruszenia mógł zauważyć na obliczu tego człowieka! Talleyrand z pogardliwym spokojem mówił dalej:

— *Corps legislatif* może być zwołane po za granicami stolicy i może ze swej strony wybrać generała, a właśnie o to nam chodzi.

Józef Bonaparte, obecny przy tej rozmowie, szukać zaczął paragrafu odpowiedniego, ale Talleyrand odrazu wskazał mu go palcem i mówił dalej:

— Wtedy nietrudno nam będzie projekt Siéyés'a przeprowadzić, jeżeli oczywiście wszystko nam się powiedzie.

— Jeżeli nam się powiedzie—jak echo powtó-

rzył Józef, poczem zapytał: — Czy Siéyés bez zastrzeżeń zgodził się na zamach stanu?

Napoleon Bonaparte, który pospiesznie chodził po pokoju, zatrzymał się w tej chwili i odpowiadając na pytanie brata swojego zawołał:

— Ach! ileż mnie to trudu kosztowało! Wszystkie kadzidła zużyłem, ażeby go przekonać! Niema też wstrętniejszych ludzi nad tę umysły małe, które gwałtownie chcą być wielkiemi. Jakąż dopiero masę frazesów zużyć musiałem dla przekonania Moreaua i jak ostrożnie zachowuję się wobec Gohiera, który ciągle udaje Katona republikańskiego, o tem wy nawet nie możecie mieć pojęcia!

— Jest to też może jedyny członek Dyrektoryatu, który gotów nam czynić pewne trudności — wtrącił Talleyrand—innych nie biorę w rachubę, nawet z Barrasem liczyć się nie warto.

— Nie boję się ani Gohiera, ani Barrasa, ani nikogo — zawołał Bonaparte — i jeżeli uczuwałbym przed kimśkolwiek trwogę, to tylko przed Bernadottem. W żyłach tego człowieka płynie krew Maurów, to awanturnik z czasów Cyda. Zanim on ulegnie komukolwiek, to wszystkie zużyje siły, najgorszej nawet broniąc sprawy.

— Bernadotte nie jest odosobniony, Lefébvre także do tej pory trzyma się ostro.

Generał Bonaparte potarł skroń i rzekł spokojnie:

— Nie boję się o Lefébvra, tego ująć można gładkiemi słówkami, ale nie widzę innej drogi wobec Bernadotta, jak tylko postępować z nim brutalnie. Zbyt przebiegłym jesteś, kochany panie Talleyrand, ażebyś nie wiedział, że co jeden zrobi za ma-

łe wynagrodzenie, to drugi zrobi otrzymawszy hojną kwotę, ale takiego, któregoby przekupić nie można, takiego zupełnie, niema na świecie. Jednemu wystarczają pochlebstwa, drugi wymaga gotówki, trzeci da się porwać kilku frazesami teoretycznemi. Sieyés np. wszystko zrobi dla frazesu, który górnolotnie zowie swojem przekonaniem wewnętrznem.

Bonaparte szybko chodzić zaczął po pokoju, a im więcej zagłębiał się w myślach swoich, tem stawał się pochmurniejszym; wreszcie znów przystanął i mówił szybko:

— Ta frazeologia, to popisywanie sie retoryką, trwa już u nas, niestety, lat sześć, przeciąg dostateczny do zrujnowania kraju całego. Frazeolodzy nie pytają się, czy armia ma buty, żołnierze chleb, a fortece armaty! Byle tylko piękne mówki mogli wypowiadać, to już zupełnie są zadowoleni. Zagranica wkracza nam do kraju, Anglia po kawałku wyrywa ziemię naszą, bezsilni jesteśmy, a ci ludzie deklamują tylko! Najwyższy czas wziąć się do dzieła!

Talleyrand i Józef nie rozumieli tych słów Bonapartego, pierwszy więc z nich rzekł zimno:

— Najzupełniej zgadzam się z tobą, generale, przeprowadź zatem rzecz całą w Radzie Pięciuset, a wygrana po naszej będzie stronie, zwracam panu jednakże uwagę, że napotkasz tam na wielkie trudności, dwie trzecie bowiem zgromadzonych wskazówki swoje czerpie z pałacu pani de Contades.

Generał tupnął gwałtownie nogą.

— Z tą kobietą poradzę sobie łatwo! Wan-

dea będzie mi przykładem! Jeżeli tylko zamiar nasz się powiedzie, to w tym samym dniu ona musi być aresztowaną.

— Powiedziałeś sam, generale, „jeżeli się powiedzie,“ wiedz zatem, że pani de Contades projektuje postawienie ciebie w stan oskarżenia przed Radą Pięciuset, a to mogłoby poruszyć cały Dyrektoryat.

— Hm! — mruknął Bonaparte i zamyślił się głęboko — którego dzisiaj mamy?

— 8-go Brumaira — pospieszył Talleyrad z odpowiedzią.

— Dobrze! Naznaczmy przeto 16-ty jako dzień stanowczy.

— Czy pewnym jesteś oficerów, generale?

— I komendanta Paryża?—dodał Józef.

Bonaparte machnął tylko ręką.

— Do tej pory wszystko się załatwi, Paryż jest za mną. Gdziekolwiek się ruszę, wszędzie słyszę tylko słowa nienawiści dla Dyrektoryatu. U Anglika, którego kazałem odprowadzić do Temple, znaleziono listy Barrasa, potrafię je zużyć. Najwyższy czas oczyścić tę gnojówkę.

Talleyrand skinął tylko głową, a chociaż w tej głowie wirowały mu przeróżne myśli, nie dał poznać po sobie. Że Dyrektoryum musi ustąpić, Talleyrand wiedział aż nadto dobrze, zapytywał się teraz w duchu, co będzie dalej, gdy ten Korsykanin zostanie konsulem, on, taki stanowczy, odważny i żądny władzy!

— Pójdę już — rzekł Talleyrand, zabierając się ku wyjściu.

Józef pośpieszył z odprowadzeniem gościa do

drzwi, Napoleon zaś, zupełnie zapominając o obowiązkach gospodarza, dodał jeszcze:

— Nie zapomnij pan przysłać jutro Arnaulta po instrukcyę dla Lucyana; jako prezydent Rady Pięciuset, powinien wiedzieć o każdym kroku naszym.

Talleyrand wyszedł razem z Józefem, który go odprowadził aż na ulicę.

Od pewnego czasu Bonaparte coraz więcej przebywał w Mortefontaine, w małym pałacyku, który brat jego Józef kupił sobie na własność; generał udawał, że potrzebując wypoczynku i odosobnienia, najchętniej przebywa na wsi. Wtajemniczeni wiedzieli jednakże, że z Mortefontaine codziennie idą sztafety do miasta i że tu zbiegają się wszystkie nici przezornie uknutego planu.

Mortefentaine trudno właściwie nazwać było można pałacykiem, raczej była to willa z balkonem od frontu i parkiem rozległym, chociaż zapuszczonym.

Bonaparte po odejściu gości szybko chodził po pokoju, od czasu do czasu przystawał, aby popatrzeć oknem na drzewa, któremi wiatr jesienny pomiatał, rozrzucając listki żółte; rozważał wszystko, co przeżył przez te dni czternaście, odkąd znalazł się w Paryżu.

— Ah, jakże nudzą mnie ci ludzie! — mruknął Bonaparte do siebie — a jednak liczyć się z nimi potrzeba, z tymi ministrami, dziennikarzami, członkami parlamentu, którzy wszyscy razem tworzą nicości olbrzymie i których szał kończącego się stulecia wydymał do wielkości. Ci ludzie żyją z dnia na dzień,

to sklepikarze, u których frazes nabyć można za parę groszy. Żyją oni, ażeby żyć, i ażeby napychać sobie kieszenie.

Duch Napoleona w innych przebywał regionach. Głowa jego pracowała silnie, ten człowiek bowiem powrócił ze wschodu, patrzył na tysiące lat wiecznie żywej historyi i dziś zupełnie innego pragnął świata, aniżeli ten, jaki zastał w Paryżu. Niezmierną obdarzony fantazyą, przeskakiwał z wieku na wiek, i nic nie obchodziły go paragrafy jakiejś tam konstytucyi, ani też marna kłótnia pigmejów. Przypuszczał, że w ojczyznie swojej znajdzie kajdany, znalazł tylko przędzę pajęczą, która starała się go omotać.

Bonaparte nie był stworzony na miarę zwykłych ludzi; tam, gdzie inni dużo słów potrzebowali, on w jednem zdaniu myśl całą starał się zawrzeć; tam, gdzie inni przestawali mówić, on dopiero rozpoczynał wywody swoje; tam, gdzie każdy inny widziałby tylko kaprys, on dostrzegał jasną jak słońce rzeczywistość. Przypomnijmy sobie, co powiedział do Arnaulta, kiedy w roku 98-ym wyjeżdżał do Egiptu:

— Gdybym kiedyś stał się panem Francyi, z Paryża uczyniłbym najpiękniejsze miasto, jakie istnieć może na świecie. Ateny i Rzym, Babilon i Memfis—ze wszystkiemi mogłaby się równać stolica Francyi!

W Passeriano w roku 97-ym rzekł do Marmonta:

— I cóż to jest za sława, której wystarcza Europa! Nasza część świata to tylko kostka do

gry, nic więcej, wielkie państwa powstają jedynie na wschodzie!

O tem marzył Bonaparte, wschód trzymał go w swojem zaklęciu! Prorocy i władcy, całe dynastye kapłanów, religia, zawierająca się w rozkazie, a nie w wierze, prastara potęga, przedwieczna mądrość, niezmierzona wielkość, której nawet wieki nie odważyły się naruszyć, to nęciło młodego Korsykanina. Bonaparte był naprawdę poetą, a stulecia ubiegłe działały na niego nakształt opium.

Generał nienawidził ludzi, Paryż był mu wstrętny, życie bowiem tworzyło dla niego podówczas poezyę, a w tym Paryżu trzeba było walczyć przedewszystkiem, walczyć, ze wszystkimi krwawo się rozprawiać.

W tej chwili Bonaparte nie bał się istotnie nikogo, wiedział jednak, że dopiero wtedy, gdy załatwi się z drobnemi przeciwnościami, będzie mógł pomyśleć o doprowadzeniu do skutku wielkich planów swoich. Plany te zaś polegały przedewszystkiem na tem, ażeby Francyę wyrwać z chaosu, w jaki popadła, i ażeby zapewnić ojczyznie spokój, powrócić ład, o czem walczące krwawo stronnictwa nie myślały zgoła.

W dniu 16-ym Brumaira mina, mająca Dyrektoryat i rojalistów wysadzić w powietrze, miała już wybuchnąć, a kobieta, która ośmieliła się stanąć mu w drodze, gorzko odpokutować powinna za to, że bodaj przez mgnienie oka tryumfowała nad nim.

Raz jeszcze przyjrzał się listom i papierom, leżącym na stole, i zauważył, że wszystko znajduje się w porządku, chciał już odejść, ale spostrzegł list,

którego nie widział przedtem oraz małą paczkę, na którą nie zwrócił uwagi. Listowi przyjrzał się uważnie i dostrzegł, że pochodzi on od brata Lucyana, pakiecik zaś powinien był zawierać w sobie prośby o zapomogi i tym podobne a codzienne blahe sprawy.

Obojętny zupełnie, Bonaparte przeciął sznur— i nagle skoczył, jakby go ukąsiła żmija.

— Co to jest?! co to znaczy? — zawołał gniewnie.

Przed nim leżał zwój listów, pisanych jego własną ręką, datowanych w roku 96-ym i skierowanych do Józefiny. Znał Bonaparte listy te dobrze, pisał ja wśród gradu kul, ręką drżącą, pełen zapału miłosnego i gniewu.

Na czele spoczywał list do Józefiny z dnia 17 czerwca 1796 roku, pisany w Mormirolo:

„Odkąd poznałem ciebie, codzień modlę się ku tobie coraz więcej. Ah! błagam cię, daj mi poznać bodaj jedną wadę swoją, bądź mniej piękną, mniej przyjemną, mniej tkliwą, mniej dobrą! A przedewszystkiem nie bądź zazdrosną i nie płacz nigdy! Łzy twoje pozbawiają mnie rozumu, krew zapalają w żyłach. Nie mam siły myśleć o niczem innem, jak tylko o tobie, nie mam pragnienia, któregobym tobie nie rzucił pod stopy. Kocham cię do szaleństwa"!...

Obok tego listu znajdował się drugi z datą 7 sierpnia tegoż samego roku:

„Mój ty, mały Barrasie!

„Twoja Józefina jest niezadowoloną, nie byłeś

dobrym dla niej! A przecież na ten obrzydliwy bal do Récamiera poszłam tylko na kwadrans, ażeby ciebie zobaczyć! Nie przypuszczasz nawet, jak tęsknię za tobą, tak pusto, tak cicho jest wokoło mnie ciągle. Znasz mnie i wiesz, że tęsknota może mnie doprowadzić do szaleństwa! Tysiąc całusów ci zasyłam.

Twoja

J."

Bonaparte upuścił ten list na ziemię i spojrzał znów na swoje własne pismo, datowane z 13 listopada:

„Miliony pocałunków, które palą jak słońce podzwrotnikowe, wyciskam na obliczu twojem. Niedawno byłem w tej wsi, w której mieszkał nieśmiertelny Wirgiliusz, i nawet tam, nad brzegami jeziora, przy srebrnym blasku księżyca, nie mogłem przebyć sekundy, ażeby nie myśleć o Józefinie!"

Do tego listu znów był przyczepiony drugi z datą 23-go listopada.

Mon chér Paul!

„Pękałam dzisiaj ze śmiechu! Ten Dugazon tak zabawnie wykonywał owego Anglika we „Wdowach z Palais Royal!" Od ośmiu dni cię nie widziałam! Bonaparte napisał do mnie list ogromnie komiczny, zaręczam ci, że zabawiłbyś się doskonale, gdybyś go był przeczytał! Opowiada on o blasku księżyca, o pocałunkach przy zwrotniku i o zazdrości, równającej się zazdrości Otella! Czyż to nie zabawne? Przyjdź do mnie jak najprędzej.

Twoja na wieki J."

Takich listów był szereg cały, a złożono je umyślnie w ten sposób, że zawsze dwa z nich „odpowiadały sobie."

Wybuch krateru mógłby być tylko porównanym do wybuchu gniewu ze strony Bonapartego; z wściekłością schwycił zwój papierów w rękę, rzucił je o ziemię i deptać zaczął tak, że utworzyła się z nich jedna wielka masa.

— *La maladetta! La vila!* — wołał i biegał po pokoju, przewracając stoły i krzesła. W tej chwili gotów był wszystko, co mu na drodze stało, zniszczyć, rozbić na kawałki, nawet ją, Józefinę, rozdrapałby pazurami, gdyby mu się teraz nasunęła.

Ze strony tej kobiety, którą kochał jak szalony, która zagrzała go do wielkich czynów bohaterskich, nie spodziewał się nigdy podobnej zdrady. W jej obraz wpatrzony, rozbijał wojska austryackie, dla niej burzył miasta i nowe zdobywał królestwa.

— *Fuori!* — krzyknął jak lew zraniony, chwytając za szpicrutę.

Może nigdy żadna kobieta nie odbierała podobnych listów miłosnych! Czegóż tam nie było?! Najdziksze fantastyczne wynurzenia obok cyfr zimnych o zdobytych armatach i wziętych chorągwiach. Pisząc to wszystko myślał, że ma istotę, która go rozumie, a ona tymczasem zabawiała się dobrze w Paryżu! I to z kim jeszcze! z Barrasem przeżytym! „Ten Bonaparte śmieszne pisuje listy!" Wieków całych nie wystarczyłoby na to, ażeby człowiek taki, jak generał, mógł zapomnieć o podobnem lekceważeniu jego najświętszych uczuć.

Cokolwiek chcianoby powiedzieć, faktem jest,

że Józefina była pierwszą naprawdę miłością Bonapartego, miłością, na którą zdobyć się może jedynie serce gorące i młodzieńcze. Po niej mógł Bonaparte mieć miłostki przelotne, ale tak kochać nie umiał już więcej nigdy; on serce przed nią otwierał i wszystkie sny młodzieńcze rzucał jej pod stopy.

A ona?!...

Ona w czułym uścisku kochanka bawiła się tylko człowiekiem, który pisał takie „śmieszne listy!"

Do tej pory Bonaparte podejrzywał Józefinę o lekkość obyczajów, nie miał jednakże pewności żadnej i dopiero teraz czuł, że stosunek jego musiał dawać powód do rozmów po salonach paryzkich.

Jak waryat wybiegł bez kapelusza i błądził długo po parku. Zwolna pierwszy atak gniewu zaczynał się uspokajać i Bonaparte czuł, że cios ten wymierzyć mu mogła jedyna nieprzyjaciółka—pani de Contades. Ale cios dobrze był wymierzony i trafił w najsłabszą strunę generała.

Józef widział zdaleka, że Bonaparte przystanął i spojrzał na rozścielający się przed oczyma jego Paryż, a cały swój gniew, całą nienawiść do tego miasta wywarł w tem spojrzeniu. Niechaj będzie przeklęte miasto, w którem panuje wyłącznie intryga salonowa, gdzie ludzie są bezmyślni i gdzie z oparów nędzy powstają tego rodzaju ludzie, co Barras! Paryż uczynił z Józefiny prostą, tuzinkową kokietkę, Paryż pozwala rządzić pani de Contades i Barrasowi. A jednak on rozdepce jak żmije jadowite to całe gniazdo pełzające! Niechaj zadrżą, gdy posłyszą chód miarowy jego żołnierzy!

Noc całą nie spał Bonaparte, ale ta noc przyniosła mu uspokojenie pewne i zrozumienie położenia całego. Teraz pozostawało mu tylko jedno — pójść do rozwodu z kobietą, która okazała się niegodną jego miłości. Co jednakże powiedzą na to nieprzyjaciele, którzy wydrwiwać gotowi i tryumfować, co powie pani de Contades, członkowie Dyrektoryatu, nawet Paryż cały!....

Wszystkie plany zdawały mu się tym sposobem zniweczone, jakże bowiem wywoływać teraz skandal domowy, kiedy naród widzi w nim bohatera i zbawcę! Paryż lubi się śmiać, więc i jego wyśmianoby natychmiast, a może za jakiś tydzień przedstawionoby w teatrach wodewil, osnuty na tle życia wewnętrznego rodziny Bonaparte.

Znał on zanadto dobrze Paryż, ażeby mógł na krok taki się zdecydować, a przytem rozwód z Józefiną znaczył to samo, co pozbycie się pasierbów, które kochał nadzwyczaj gorąco: Eugeniusza i Hortensyi.

Około południa zjawił się Arnault po instrukcye, ale nie przyjął go Bonaparte, jak również nie chciał się widzieć z Józefem. Wieczorem nadszedł Descamps w towarzystwie pełnomocnika Talleyranda, ale i on nie został przyjęty. Wywołało to niepokój pomiędzy sprzysiężonymi, odczuwano bowiem, że teraz każda minuta jest drogą.

Zagadkowy generał przez dwa dni nie rozmawiał z nikim i to ogólną wywołało konsternacyę. Nareszcie wybrano Descampsa i postanowiono, ażeby on przenocował w Mortefontanie, czego też podjął się młody oficer, znając nawyknienia generała.

Descamps wstał bardzo wcześnie i natychmiast udał się do pokoju generała, zdziwił się jednakże niezmiernie, gdy drzwi zastał otwarte i pokój pusty zupełnie; przybliżył się do okna i po chwili ujrzał, że generał przechadzał się z włosem rozwichrzonym po alejach parku. Nie namyślając się długo, Descamps skierował się w aleje ogrodu i krok w krok szedł za generałem. Bonaparte posłyszał kroki jakieś po za sobą i przystanął; w tej chwili przybliżył się Descamps:

— Daruj, generale, ale muszę się dzisiaj z tobą rozmówić.

Bonaparte przystanął i Descamps zdziwił się, że generał nie oburknął się gniewnie, rzekł więc śmiało:

— Już od wczoraj szukam cię napróżno, generale, ażeby ci zakomunikować, że Sieyés chciałby jak najprędzej przystąpić do dzieła, plan ma już gotowy i chciałby z nim wystąpić przed Radą Pięciuset.

Bonaparte nie odrzekł nic, Gaston milczał przez chwilę i niepewny skutku, dokończył:

— Nie można odwlekać, dwa dni straciliśmy napróżno, a wszyscy twierdzą, że trzeba teraz bardzo pośpieszać.

Generał milczał ustawicznie i ci dwaj ludzie szli przez długą chwilę obok siebie, nie mówiąc ani słowa więcej.

Nagle odwrócił się szybko Bonaparte, schwycił Descampsa za rękę i rzekł porywczo:

— W tej chwili nie obchodzi mnie wcale sprzy-

sięzenie, kto wie, co z niego może wyniknąć, postanowiłem teraz rozwieść się z żoną moją.

Gaston odtrącił rękę generala i cofnął się o dwa kroki w tył.

— Generale! Co mówisz? To niemożliwe!

— Przed kilku dniami dałeś mi dowód zaufania, więc posłuchaj — krzyknął Bonaparte. — Wiem, że umiesz milczeć, dam ci przeto pewne listy do przeczytania, a chyba wtedy przyznasz sam, że z wszelkich trucizn, jakiemi poczęstowano mnie w ostatnich dniach, ta jest najgorszą.

Bonaparte wciskał w rękę Descampsowi zwój papierów, ale on lękał się przeczytać.

— Nie bój się, czytaj śmiało! Znasz mnie i wiesz, że gdybym kiedykolwiek żałować miał, iż pokazałem ci te listy, to... żyć nie mógłbyś dłużej.

Dziwne uczucia przebiegały duszę Descampsa, gdy pospiesznie przebiegał oczyma podany sobie zwój papierów, a kiedy skończył odczytywanie, przygryzł tylko wargi i blady był niezmiernie.

— I cóż sądzisz o tem wszystkiem? — zapytał Bonaparte.

— Znasz generale historyę żony Cezara...

Bonaparte zmarszczył brwi, ale nie śmiał spojrzeć w oczy towarzyszowi.

— Znam tę historyę dobrze; czyżbyś chciał z niej wyciągnąć dla mnie naukę moralną?

— Dla dobra Francyi musisz sprawy domowe zostawić na uboczu! Taka chwila nie nadejdzie nigdy więcej.

W głosie Descampsa tyle leżało szczerości, że

generał zastanowił się i przystanął, Gaston zaś mówił dalej z wielkiem poszanowaniem boleści:

— Uznałeś mnie godnym zaufania swojego, generale, a więc dobrze, powiem wszystko co myślę.

— Rozwód twój z żoną byłby klęską zarówno dla ciebie, jak dla nas i dla Francyi. Gdybyś chciał teraz pomyśleć o tem, to zgubisz wszystko i tryumfowaliby nieprzyjaciele nasi. Jednej chwili nie wolno nam stracić!

Bonaparte przerwał:

— Sto razy sam to sobie powiedziałem, a jednak, mój przyjacielu, a jednak zemsta takiem miłem jest uczuciem, zwłaszcza, gdy mścić się można na kobiecie.

— Można to przecież odwlec na czas późniejszy, a gdy już cios będzie wymierzony, to wtedy wszyscy ulegać będą musieli władzy twojej. Rozwód w tej chwili wywołałby skandal, który musiałby nas obezwładnić.

Szli długo w milczeniu, poczem znów Descamps odważył się powiedzieć:

— Ci, którzy te listy nadesłali, liczyli na to, że trucizna onieśmieli kroki twoje, domyślam się też, kto w tak ważnej chwili dokonał tej przysługi. Zdaje mi się, że znam tę kobietę.

— Tak jest!— zerwał się Bonaparte— nikt inny nie mógł przysłać tych listów, tylko kobieta!

— Pani de Contades. Czyż wątpiłeś o tem, generale?

W tę i ową stronę przechadzać się zaczął Bonaparte, zęby zaciskał, mruczał coś do siebie, wreszcie przystanął i krzyknął:

— Nie, tej satysfakcyi nie będą mieli, chociaż liczą na nią!

Szybko ujął pod ramię Descampsa i rzekł ponuro:

— Chodź ze mną!

Zanim doszli do pałacyku, Bonaparte przystanął raz jeszcze i rzekł szeptem:

— Przed Józefiną zupełną zachowajmy tajemnicę i dopiero wtedy, gdy już będę panem woli swojej, powezmę stanowcze postanowienie.

Ku radości swojej spostrzegł Gaston, że kryzys już minęła, przez dzień też cały pracował Bonaparte gorączkowo, ciągle porozumiewając się z Descampsem i Józefem. Może nigdy umysł generała nie zdawał sobie tak jasno sprawy z tego, co ma nastąpić, nigdy woli swej generał nie objawiał tak jasno i szybko. Listy redagowane pospołu z Talleyrandem, Sieyésem i pułkownikiem 9-go pułku dragonów Sebastianim, wychodziły co chwila z gabinetu generała, oprócz tego zaś konferencye odbywał z generałem Régnaultem, który dowodził dwoma pułkami piechoty w Saint-Cloud.

— A więc 18-go Brumaire'a? — zapytał Descamps, opuszczając w dniu 16-ym dom generała.

Bonaparte skinął tylko głową i rzekł:

— Tak jest, 18-go Brumaire'a!

Żadnego niepokoju w oczach, żadnego drgnienia niepotrzebnego. Bonaparte przeciwko burzy, która wiała, szedł zahartowany jak stal, zimny jak lód i—pewny wygranej.

ROZDZIAŁ XVI.

List miłosny.

Wiedziano o tem powszechnie, że Gaston cieszy się wielkiemi względami generała, skutkiem czego łatwiej podjąć mu było zadanie bardzo męczące i wielkiej wymagające dyskrecyi. W przeciągu dni kilku Descampsowi pozostawało przygotowanie gruntu dla planów Bonapartego, nadarzyła się zaś nader dobra ku temu sposobność, oficerowie bowiem w dniu 13-ym Brumaire'a postanowili wyprawić wspólny bankiet w ogrodzie Birona.

Deputacya oficerów garnizonu paryzkiego i najbliższych miast stolicy udała się do Bonapartego z prośbą o wzięcie udziału w uczcie. W ten sposób chciano uczcić bohatera, który tak niespodziewanie powrócił z Egiptu, rząd jednakże po długiem dopiero wahaniu dał pozwolenie na odbycie bankietu i wogóle podejrzliwie spoglądał na zachowanie się oficerów.

Oprócz tych wszystkich czynności, wymagających wielkiego wytężenia, Descampsa żywo zajmo-

wał los przyjaciela, napisał przeto do Hektora list, ale Laringuet nie odpowiedział mu nawet, więc też Gaston postanowił tego samego wieczora, na który naznaczony był bankiet w ogrodzie Birona, udać się do mieszkania Hektora. Zastał przyjaciela swojego w bardzo złym humorze.

— Dobrze zrobileś, że przyszedłeś — rzekł na wstępie — ty jeden bowiem możesz mnie rozweselić. Od pewnego czasu zacząłem się nad tem zastanawiać, czy właściwie nie byłoby najlepiej opuścić ten świat, który dla rozumnych ludzi jest za głupi, a dla głupich za rozumny.

Gaston usiadł w milczeniu i tylko bystro patrzył na Hektora, który jednak mówił dalej, przymuszając się do uśmiechu:

— Widzę, że cię to dziwi, ale daję ci słowo, że usposobienie moje skłania mnie do tego kroku. Przekonałem się, że człowiek skończonym jest głupcem, gdy od kobiety żąda przywiązania i szczerości, i dlatego skończyłem z Alicyą raz na zawsze.

— Dlaczego z nią zerwałeś? — zapytał młody oficer, nie przypuszczając, że ów list nieszczęśliwy stał się powodem zerwania.

Hektor jednak nie był skłonny do dalszych wynurzeń, rzekł więc tylko:

— Wszystkie one nic nie warte; z początku myślałem, że ona ma w sobie coś więcej, aniżeli każda przeciętna kobieta, ale i ta nadzieja mnie zawiodła. Wybornie zastosować się daje do niej słynny kuplet: *Alice, la belle.*

Hektor zaczął śpiewać:

— *Son coeur avec sa chevelure avait changé.*

Po chwili przerwał i zawołał:

— Zapomniałem, że ty przecież przyjeżdżasz wprost z Egiptu i nie znasz naszych kupletów.

Widząc tę wesołość wymuszoną, Gaston wzruszył tylko ramionami.

— Pozbywszy się Alicyi, powróciłeś znów chyba w służbę pani de Contades?

— Ma się rozumieć, że uczyniłem to natychmiast i równocześnie wysłałem list do pana Grosrenarda, ażeby umowę naszą uważał za niebyłą; on naturalnie zagroził mi, że w przeciągu dni czternastu każe mnie zaaresztować, ale pysznie ubawiliśmy się tym listem jego przy Rue de Renes! Co teraz z tego wyniknie, nie wiem, ale mało mnie to obchodzi.

Gaston wstał i bardzo był poważny, gdy rzekł:

— Czy ty wiesz, człowieku, że zmarniejesz zupełnie, gdy się trzymać będziesz tej kobiety?

— Co mi tam! Pani de Contades jest zachwycająca.

— Zachwycająca!... — zaśmiał się Descamps — czy może być zachwycającą kobieta bez serca i sumienia?!

Młody Laringuet chciał już wybuchnąć, ale powstrzymał go ponury wzrok Gastona.

— Siadaj spokojnie i posłuchaj, co ci powiem, przyszedłem bowiem tutaj wyłącznie, ażeby z tobą pomówić słów kilka o pani de Contades.

— Ciekawy jestem, co możesz powiedzieć?

— Mojem zdaniem, znać należy przynajmniej

części składowe trucizny, którą się spożywa codzień w małych dawkach.

Hektor śmiał się drwiąco, ale Gaston spokojnie mówił dalej:

— Poruszyłem w tej chwili temat, o którym nigdy i z nikim nie lubię rozmawiać, dla ciebie czynię wyjątek, chociaż właściwie obowiązkiem moim jest milczeć. Ani ty, ani nikt z was nie wie, że przez miesięcy ośmnaście byłem kochankiem Estelli.

Hektor porwał się zdumiony i ze zdziwieniem patrzył na przyjaciela.

— Czyż to możliwe? — zawołał prawie z przerażeniem w głosie.

— Znasz mnie, że nie kłamię nigdy. Jak sobie zapewne przypominasz, w lecie 96 go roku postanowiłem wstąpić do armii włoskiej, chcąc ostatecznie znaleźć jakieśkolwiek zatrudnienie w życiu. Byłem pod Arcole, Sonato, Castiglione, ale wtedy jeszcze nienawidziłem Bonapartego. Podczas ostatniej potyczki byłem ranny i musiałem powrócić do Paryża. Miasto wyprawiło oficerom, powracającym z Włoch, bal wielki, na którym po raz pierwszy miałem sposobność poznać panią de Contades, a wtedy była ona jeszcze mężatką, co z drugiej strony nie przeszkadzało wcale, że zawsze otaczał ją rój wielbicieli. I nic w tem dziwnego! Mąż jej, wysoce głupi arystokrata, ogromnie dumny z posiadania jednego z najstarszych drzew genealogicznych we Francyi, liczył wtedy lat 68 i znany był z bajecznego skąpstwa. Byłem młody, łatwo zapalny, rękę nosiłem na temblaku więcej z próżności niż z potrzeby i psuto mnie w towarzystwie, jak każdego oficera, który powrócił

z Włoch. Odrazu wpisałem się w poczet wielbicieli tej kobiety. A potem—potem wysłuchała mnie i byłem tym szczęśliwcem, o którym przez dwa tygodnie rozmawiano w towarzystwie, jako o nowym kochanku pięknej kobiety, a skłamałbym, gdybym powiedział dzisiaj, że te chwile naprawdę nie były najszczęśliwsze w życiu mojem. Do szaleństwa ją kochałem, mogła robić ze mną, co tylko chciała—i rzeczywiście robiła, co chciała. Nie wiem, czy kiedykolwiek znajdzie się druga kobieta, któraby podobne wzbudzić mogła uczucia we mnie. Przyjaciel, kochanek i towarzysz łączył się w jednej osobie, ona zaś upiększała sobą nawet to, co na pozór jest bardzo prozaiczne, nie pozwoliła męczyć się miłością, codziennie nowe przygotowywała niespodzianki i miałem wtedy uczucie, że nigdy nie nasycę się jej miłością. Wiedziała, że ma siłę, wiedziała, że rządzi mną bezpodzielnie i postanowiła wyzyskać łatwowierność moją. Pewnego dnia...

Tu Gaston przerwał na chwilę, ażeby następnie mówić szybko:

— Pewnego dnia skarżyć się zaczęła przedemną na postępowanie męża swojego, na jego brutalność, skąpstwo i nawet obrazy czynne. Dużo wtedy dawała mi do zrozumienia, a ja dałem się porwać. Kobiety, którą ja kocham i uwielbiam jak bóstwo, nie wolno było nikomu obrażać i krzywdzić, chciałem więc skorzystać z pierwszej lepszej sposobności, ażeby się zemścić i kiedy w towarzystwie markiz wypadkiem spojrzał na mnie uśmiechnięty ironicznie, podszedłem do niego i obraziłem go śmiertelnie kilku dobrze wycelowanemi złośliwościami. Na drugi dzień

markiz przysłał mi świadków swoich i odbył się pojedynek na pistolety w lasku pod Neuilly... O jednem nie wiedziałem wtedy, o czem zaś dowiedziałem się później, t. j. że markiz przed kilku tygodniami zrobił testament, zapisując dobra swoje całe i kapitały żonie. Pojedynek wypadł nieszczęśliwie dla markiza, celowałem dobrze i kula ugrzęzła w lewej stronie piersi; lekarze małą czynili nadzieję utrzymania starca przy życiu, chociaż żona pielęgnowała go tak tkliwie, jak gdyby życie ich płynęło najlepiej i najspokojniej. Umyślnie wynajęła willę podmiejską, co jednakże nie przeszkadzało jej urządzać schadzek ze mną wtedy nawet, i to w pokojach przyległych do sypialni, w której mąż dogorywał, a ja tak ślepy byłem, że nawet w tem nie dostrzegałem zbrodni. Stary markiz musiał coś podejrzewać. Pewnej nocy powracaliśmy właśnie z długiej przechadzki po parku, gdy nagle Estella krzyknęła przeraźliwie i konwulsyjnie schwyciła mnie za ramię. Spojrzałem i oniemiałem z przerażenia; na tarasie przed domem, w jasnem świetle księżyca ujrzałem nagle starego markiza z krwawą raną w piersi bez bandaża. Widoku tego nie zapomnę do końca życia. Wybiegłem jak szalony z parku i wkrótce przyszedłem do przytomności zupełnej; krwawe widmo nocne zniweczyło namiętność moją dla kobiety, która nie zna żadnej świętości.

Hektor słuchał uważnie, nie przerywał też, gdy Gaston, zwiesiwszy głowę na dół, zadumał się nad tą przeszłością, ażeby po chwili znów mówić dalej.

— Nie spałem przez noc całą i o świcie już napisałem list do niej, że raz na zawsze zerwane

być muszą wszelkie pomiędzy nami stosunki, napisałem, że w każdym uścisku jej czułbym krew niewinnie przelaną. Markiz umarł nazajutrz, ona zaś stała się panią wielkiego majątku, który dał jej siłę i znaczenie w towarzystwie. Paryż, świat cały, ludzie, zabawy w gronie towarzyszów—wszystko mi zbrzydło odtąd, przed oczyma bowiem miałem ciągle postać w bieli na tarasie z krwawą raną na piersi. Bonaparte wtedy przygotowywał ekspedycyę do Egiptu, przyłączyłem się do niej w nadziei, że tam za morzem nareszcie, wśród życia obozowego, zapomnę o przeszłości, i dziś szczęśliwy jestem, że mi się to powiodło zupełnie. Tak jest! na szczęście zapomniałem i przebolałem, życie zwolna znów odzyskało wartość swoją i zacząłem rozumieć, że nie można wypełnić go czczemi zabawami. Kiedy przed trzema tygodniami powróciłem do Paryża, na wstępie spotkałem Estellę i wstrętną mi się stała ta kobieta. Ona dzisiaj jest szczęśliwą, potężniejszą, niż była kiedykolwiek, a krew męża nie obchodzi jej zupełnie.

Skończył i zaległa cisza w pokoju; Hektor, który słuchał uważanie, pochylił głowę i dumał, wreszcie ujął za rękę przyjaciela i zapytał się cicho:

— Czy ty naprawdę pewny jesteś, że jej nie kochasz więcej?

Jakkolwiek Gaston nie spodziewał się tego zapytania, to jednak odparł ze znaczącym uśmiechem:

— Wyleczony jestem doszczętnie, inne plany mam teraz w głowie, wojna uzdrawia i wzmacnia na duchu.

— Jakiś ty szczęśliwy! Szczęśliwszy odemnie— rzekł Hektor gorzko — pomimo bowiem wszystkiego, co usłyszałem od ciebie, ja — ja kocham Estellę!

— Nawet teraz jeszcze?—zawołał Gaston, zrywając się z krzesla.

— Tę miłość muszę mieć widać we krwi, nie rozumiałbym życia bez niej i teraz zastanawiam się nad tem, czy nie byłoby to najpiękniejszem zakończeniem komedyi życiowej, gdybym wieniec z róż włożywszy na skronie, umierał z pocałunkiem na ustach Estelli.

Nigdy Descamps nie widział przyjaciela swojego tak rozmarzonego, zauważył też natychmiast:

— A jednak zdawało ci się, że kochałeś Alicyę?

— Masz racyę, że mi się to tylko zdawało, ale ta słabość minęła! Alicya bawiła mnie trochę, rozweselała mnie jej młodość, ale przecież natury nasze nie zgadzały się zupełnie. Zupełnie co innego pani de Contades, duszę oddałbym dla niej!

Descamps zrobił gwałtowny ruch ręką.

— Hektorze, byłeś mi zawsze przyjacielem i teraz przyszedłem cię ostrzedz przed tą kobietą, zginiesz, jeśli trzymać się jej będziesz uparcie. Dziś jeszcze pora się cofnąć, za kilka dni będzie już zapóźno!

Ze zdumieniem popatrzył Hektor na ten wybuch przyjaciela.

— Co mają znaczyć te słowa twoje?

— Znaczą one, że wy wszyscy nawet przeczucia nie macie, jaką sieć założono na was. Więc

cej mówić mi nie wolno, a teraz przestrzegam cię raz jeszcze: porzuć panią de Contades.

Hektor odzyskał już swój zwykły spokój i zaśmiał się z ironią:

— Czy może tę sieć, o której mówisz, zarzuca na nas ten twój niby sławny generał?

— Gdybyś znał Bonapartego, nie śmiałbyś odzywać się w podobnie drwiący sposób! — zawołał Gaston tak gwałtownie, że zdumiał się Hektor — nie jest to człowiek, któregoby mierzyć można podług waszej skali! Przez czternaście miesięcy byłem w Egipcie ustawicznie przy boku generała i obserwowałem go bacznie; najpierw nauczyłem się kochać go, a potem podziwiać. Wasi salonowcy i wszyscy mężowie stanu we Francyi nawet pojęcia mieć nie mogą o wielkim umyśle generała. On jedyny wie, czego potrzeba Francyi i on jedyny ma rękę z żelaza. Do rozporządzenia Bonapartego stoi w każdej chwili sto tysięcy bagnetów, a te bagnety nie ścierpią, ażeby rozpadać miał się kraj przez anarchię lub dostać w ręce Anglii. Nie wyobrażajcie sobie, że Bonapartego potraficie sobie urobić w ten sposób, jak pozwolił się wam urobić Pichegru, Hoche i Moreau!

— Wymownym jesteś, Gastonie, mnie zaś cieszy bardzo, że znów masz jakiś ideał w życiu, niestety, ja nawet tego ideału nie mam.

— Nie cofniesz się zatem? — zapytał Gaston ponuro.

— Nie! Nie mogę z tem zerwać, z czem mnie łączą wszystkie nici, a jeżeli pragniesz poznać moje wyznanie wiary, to mogę tylko krzy-

knąć: *Vive le roi!* „Za króla i damę mojego serca!“

— W takim razie jesteś zgubiony! — zawołał młody oficer i westchnął głęboko; podał rękę Hektorowi i wyszedł z głową spuszczoną na piersi. Już na progu będąc, przystanął i rzekł jeszcze:

— Może będę mógł jeszcze uczynić coś dla ciebie, boję się jednakże, ażeby to nie było już zapóźno!

Hektor patrzył na odchodzącego, wzruszył ramionami, ale pomimo to czuł się po tej rozmowie dziwnie niepewny. Zdawało mu się, że istotnie dążą wszyscy ku katastrofie, że Francya ma się stać zupełnię inną, że świat się zapadnie razem z nim i tą kobietą; zastanawiała go wielka zmiana, jaka zaszla w Gastonie.

Descamps po wyjściu od Hektora udał się wprost do ogrodu Birona.

Późno już było, zmierzch dawno zapadł, gdy Gaston przybliżył się do bramy wejściowej i chciał się legitymować przed służbą, ale ta, zobaczywszy mundur jego, skłoniła się usłużnie i sama z szacunkiem przeprowadziła do sali, położonej na pierwszem piętrze, gdzie uczta przygotowana była na sto nakryć.

Obiad dobiegał już do końca, w sali paliły się rozliczne świeczniki, zdaleka dochodziły okrzyki i głośne rozmowy ludzi, którzy rozgrzani winem, nie uważali teraz na nic, ani na nikogo.

Przedewszystkiem znaleźli się tu wszyscy przedstawiciele w Paryżu stacyonowanych pułków, a więc błyszczały mundury strzelców z Vincennes, huzarów

z Rueil, dragonów z 9-ej dywizyi, obok trzech pułków piechoty, oficerów inżynieryi i t. p., a wszyscy rozmawiali głośno i hałaśliwie, popijając wino, rozlewane podczas toastów na obrusy.

Dziwne to były rozmowy, a zawsze do wspomnień o przebytych trudach wojennych mieszały się pogróżki, skierowane ku rzeczypospolitej, pogróżki, których podkład tworzyło to, że rzeczpospolita nie płaciła żołdu regularnie, a generałów traktowała podejrzliwie.

Znalazłszy się w tem towarzystwie, Gaston odrazu dostrzegł, co się dzieje, natychmiast też zawołano przy stole:

— Panowie! Przyszedł teraz Egipcyanin!

Egipcyanami nazywano w armii tych nielicznych oficerów i żołnierzy, którzy razem z Bonapartem powrócili ze wschodu. Pojawienie się jego w tem gronie wyjątkowy budziło interes, wiedziano bowiem, że generał szczególniejszemi względami otacza młodego oficera, znano też go powszechnie i zachowywano się wobec niego odpowiednio.

— Ten nam powie dopiero, jak rzeczy stoją!— wykrzyknął jeden z huzarów. — Jedno słowo twoje, panie Descamps, a ruszymy wszyscy natychmiast!

— Zagramy pałacowi Luksemburskiemu marsza, jakiego świat nie zapomni — bąknął inny oficer wśród ogólnej wesołości i roznamiętnienia, ale w tej chwili odezwał się ktoś podejrzliwie:

— Ba! Gdyby to można ufać Bonapartemu! Gotów nam znów zrobić to samo, co było po powrocie z Włoch we Frimaire 97 roku. Zaśnie spo-

kojnie i nie zrobi nic, bo ten człowiek nie ma odpowiedniej odwagi.

— Braciszku! — rzekł jeden z huzarów, klepiąc podejrzliwca po ramieniu.—Teraz nie może Bonaparte być spokojny, on musi działać! Dyrektoryat chce mu nalać sadła za skórę z powodu wyprawy egipskiej, a wiadomo, że każdy woli ściąć głowę drugiemu człowiekowi, aniżeli samemu być ściętym.

— Dlaczego jednakże nie przyszedł do tej pory? Powiedzielibyśmy mu przecież, jakie jest nasze zdanie w tej mierze.

Jak gdyby nie zważał wcale na te wszystkie uwagi, Gaston zapytał pierwszych z brzegu oficerów:

— Czy generał Lannes jest obecny na biesiadzie?

Wskazano mu ręką, w którem miejscu siedzi ten dowódca w towarzystwie pułkownika Sebastianiego.

Lannes i Sebastiani, spostrzegłszy adjutanta Bonapartego, natychmiast zwrócili się do Descampsa:

— Z czemże przychodzisz, kapitanie?

— Mam najświeższe rozporządzenie, podług którego ty, generale, masz obsadzić ogród Tuileryj aż do godziny jedenastej i pół.

— Co dla mnie postanowiliście?—zapytał Sebastiani.

— Generał życzy sobie, ażebyś pan osobiście stawił się przed domem jego o godzinie 6-ej rano przy rue des Victories; wystarczy otoczenie dwustu do trzystu ludzi, a zrozumiesz pan chyba, że pierwszy impuls z tej strony będzie dany.

— Rozumiem doskonale.

— A zatem nieodwolalnie 18-go?

— Nieodwołalnie!

— Dobrze! Powiedz pan generałowi — rzekł Lannes—że może liczyć na nas i że skoro ja stanę na posterunku, to wtedy całą armię adwokatów i dyrektorów będzie mógł zrzucić ze schodów. Nikt mu w tem nie przeszkodzi.

Descamps chciał się już oddalić i serdecznie uścisnął rękę generała Lannes, gdy posłyszał rozmowę dwóch oficerów z pułku strzelców:

— Więc ty byłeś przy tem? Jakże skazała komisya w Temple owego Anglika?

— Już po nim! Dzisiaj rano powieszono go w więzieniu.

— To poszło szybko!

— Nie mogło być inaczej, ten szubrawiec miał listy Pitta przy sobie, a te listy dowodziły, że przybył on do Paryża po to, ażeby szpiegować. Na nic nie zdały się jego groźby, reklamacye, protesty i chociaż Rada Pięciuset chciała go oddać przed sąd cywilny, to jednak Bonaparte postawił na swojem. Rzecz naturalna, że gdyby nie to, napewno byłby uwolniony.

— Powiadają, że ten Elton ogromne sumy wydawał podczas zimy w Paryżu. Ładny koniec wielkiego salonowca.

— Ci wielcy z Faubourg St. Germain nie starali mu się nawet przyjść z pomocą.

Descamps nie słuchał dalej, wiedział on bowiem, że przyjść z pomocą nie mogli nawet najzapaleńsi; strach ogólny zapanował w Paryżu, przybył

bowiem do stolicy człowiek, który postanowił regulować wszystkie rachunki zaległe.

Nad ranem opuścił młody oficer rozbawioną kompanię i zadowolony był, gdy po różnych wyziewach mógł oddychać pełną piersią świeżem powietrzem.

Gaston postanowił udać się natychmiast na rue de Victories, ale właśnie, kiedy opuszczać miał ogród Birona, podszedł ku niemu służący i wręczył mu list, nadmieniając zarazem, że pismo to przyniesiono już wczoraj. Na kopercie znajdował się dopisek: „bardzo pilno!“

Gaston wziął list do ręki, a taki zapach perfum doleciał go odrazu, że zrozumiał, iż pochodzi on od kobiety; otworzył pośpiesznie i zaczął czytać.

List pochodził od pani de Contades, zawierał zaś prośbę o *rendez-vous* w pałacu przy rue Royale, i pisany był w tonie tak serdecznym, jak to bywało niegdyś.

Estella naznaczała schadzkę w godzinie popołudniowej, on zaś kilkakrotnie odczytywał to pismo dobrze znane i nareszcie nie wiedział, co ma począć. Nie rozumiał z początku, co mogło nakłonić tę kobietę do wznowienia stosunków dawno przerwanych, rozmyślał też nad tem i zadumany wkroczył do domu generała Bonapartego.

Pomimo wczesnej bardzo pory, generał był już na nogach i przyjął go w gabinecie swoim.

— Czy Lannes i Sebastiani przyrzekli pomoc swoją?—zapytał Bonaparte.

— Najzupełniej! Powracam właśnie z bankietu i ludzi tych zostawiłem pod takiem wraże-

niem, że choćby dzisiaj uderzyć, oni na wszystko będą gotowi.

— To dobrze, iż ważą się na wszystko, właśnie takich mi potrzeba, czuję bowiem, że nie obejdzie się tu bez trudności.

— Czy obawiasz się, generale, niezadowolenia na przedmieściach?

Bonaparte roześmiał się pogardliwie.

— Nie o przedmieścia mi idzie, ci ludzie wyczerpani są rokiem 93 i dziś jeden batalion wystarczyłby do ich poskromienia. Teraz cała trudność spoczywa na Radzie Pięciuset, tam wszyscy sprzysięgli się przeciwko mnie, a co najgorsze, że Bernadotte przed dwoma tygodniami przybył do Paryża. Jedyny to z generałów, który nie odwiedził mnie do tej pory.

Bonaparte zmarszczył brwi i szybko chodzić zaczął po pokoju; nagle przystanął i zwrócił się do adjutanta:

— Cóż ty mi dziś tak dziwnie wyglądasz?

— Zmęczenie — odparł Descamps i dla zatarcia wrażenia, mówił pośpiesznie:—mnie się zdaje, że to właśnie dobrze dla nas, że Bernadotte powrócił i nie wie do kogo się teraz udać.

Bonaparte nie odpowiedział nic i tylko bacznie przyglądał się Gastonowi.

— Ukrywasz coś przedemną i tem właśnie źle robisz.

Descamps wahał się chwilę, ale przemógł się i nie patrząc w oczy swojego zwierzchnika, odrzekł:

— Czy pamiętasz, generale, że przyrzekłem ci

wszystko, coby się mogło tyczeć pani de Contades, odkryć przed tobą?

— Prosiłem cię o to.

— A więc... przed kwadransem otrzymałem ten oto bilecik, a zdaje mi się, że nie może on w niczem przyczynić się do rozjaśnienia sprawy.

To mówiąc, Gaston podał generałowi list, Bonaparte zaś czytał go bardzo uważnie i kiedy skończył czytanie, mruknął:

— Dobrze się stało, że pokazałeś mi to pismo. Niezbadana to istota ta pani de Contades, więc i tu tkwi coś niewyraźnego. Pamiętasz, że chciała mnie wydać w ręce floty angielskiej, potem wykradła korespondencyę żony mojej, a teraz chce mnie napewno posłać pod nóż gilotyny!

W umyśle i sercu Gastona wzbudziły się dawne wspomnienia, znał on ten hotel przy rue Royale i w tej chwili sam nie zdawał sobie sprawy, czy jeszcze czasami nie zostało odrobiny uczucia dla Estelli; czekał, co powie Bonaparte, ale generał spokojnie rwał kawałki papieru i niczem innem, zdawałoby się, nie był zajęty, jak tylko, ażeby te kawałki, systematycznie równe, upadały na ziemię.

Descamps czekał niecierpliwie, wiedział bowiem, że generał dziecinne czasami miewał igraszki i że właśnie wtedy, kiedy na pozór drobnostkami był zajęty, umysł jego pracował najwięcej. Czekanie trwało dość długo, aż nareszcie generał znów spojrzał uważnie na Descampsa i rzekł głosem ochrypłym:

— Trzeba ci pójść na tę schadzkę! Najprawdopodobniej markiza pragnie się dowiedzieć czegoś, co dotyczyłoby planów naszych, ponieważ zaś w mię-

ście rozpuszczono pogłoskę, że w tych dniach mam opuścić Paryż, ażeby przeprowadzić inspekcyę portów, przeto z pewnością pani de Contades chce się dowiedzieć czegoś pewnego w tej mierze od ciebie. Gdybym oddalić się miał z Paryża, to wtedy ona i Bernadotte schwyciliby nas w swoją pułapkę.

— Nie rozumiem cię, generale — szepnął Descamps, zdumiony do najwyższego stopnia.

— Zrozumiesz natychmiast, gdy ci powiem, że Bernadotte konspiruje z rojalistami. Otóż, kochany mój Gastonie, gdyby pani de Contades wywiadywać się chciała, kiedy wyjeżdżam na północ, to powiedz jej, że uczynię to jeszcze przed 18-ym Brumairea, to ich zgubi, gdyż będą działali powolniej.

Descamps zacisnął zęby i po długiem wahaniu rzekł śmiało:

— Nie uczynię tego, generale!

— Dlaczego? — zawołał Bonaparte, powstając niecierpliwie.

— Nie mogę oddawać kobiety, którą kochałem, pod nóż kata.

— Przypuszczałem, że na wschodzie romantyczność taką wybiłeś sobie z głowy — rzekł generał, mierząc go zimno, ale Gaston tym razem był niezłomny.

— Panie generale, można opuścić kobietę, ale zdrada w tym wypadku byłaby zbrodnią.

— Powiedz poprostu, że nie chcesz tego uczynić dla mnie!—zawołał Bonaparte, krzyżując ręce na piersiach.

Młody oficer nie ustępował i nie mniej śmiało odparł:

— Generale, czy przypuszczasz, że człowiek nie zaciąga żadnych długów wobec kobiety, z którą przez ośmnaście miesięcy był bardzo szczęśliwy?!

— Ha, ha!—śmiał się Bonaparte—szczęśliwy?!... Jakże można być szczęśliwym z kobietą, która w tym czasie zdążyła pana dziesięć, a może i dwadzieścia razy oszukać!? I któż to mówi?! Pan, który sam byłeś świadkiem, co się działo w domu moim! Czyżbyś ty należał do tych ludzi słabych, którym ustawicznie potrzeba bata do poskramiania?

Gaston nie odpowiedział nic, Bonaparte zaś wzburzony był widocznie, schwycił Descampsa za rękę i z oczyma krwią nabiegłemi mówił:

— Czy wiesz, kapitanie, za co teraz będziemy walczyli? Za czasów Dyrektoryatu Francya stała się dziedzictwem kobiet, one wybierały deputowanych, one nominowały generałów, one czerpały wreszcie w skarbcu państwa i pieniądze narodowe trwonily na przyjemności swoje! Barrras wyprawiał zabawy w Tivoli, a równocześnie biedni umierali z głodu. Wszystkiemu winne kobiety, w ich buduarach zbiegały się wszystkie nici intryg i zdrady. Pani de Contades, to najgorsza Aspazya Dyrektoryatu, tej kobiecie głowę ściąć potrzeba, ażeby przestała być szkodliwą.

Jak oszołomiony stał Descamps wobec Bonapartego, który gestykulował żywo, czuł też Gaston, że to jedyny cztowiek, który może złe ukrócić, ale generał przerwał, znów chodził po pokoju, przystanął i dokończył rozkazująco:

— Napisz zatem, co ci powiedziałem, a potem zrobisz, czego wymagam.

— Nie mogę, generale.

Bonaparte rzucił się jak wściekły:

— Czy chcesz, ażebym zapomniał, że byłeś przyjacielem moim?

Tyle siły było we wzroku Bonapartego, gdy to mówił, że Gaston nie śmiał wahać się już dłużej.

— Zrobię, co każesz, generale—rzekł bezdźwięcznie, a blady był wtedy ogromnie.

Skłonił się i wyszedł w takiem usposobieniu, że wolałby był podążać na armaty nieprzyjacielskie, aniżeli spotkać się z kobietą, którą teraz miał zdradzać.

ROZDZIAŁ XVII.

Circe.

Otrzymawszy odpowiedź od Gastona, Estella odetchnęła głęboko, oczy jej zajaśniały i czuła się szczęśliwą bardzo. Nie straciła zatem mocy swojej nad zimnym na pozór adjutantem Bonapartego.

Dzień bardzo był pogodny, chociaż jesienny, gdy po południu wyszła z pałacu swojego i pieszo udawała się na oznaczoną schadzkę przy rue Royale. Nawet najbliżsi nie poznaliby w kobiecie, ubranej skromnie, zawoalowanej gęsto, słynnej pani de Contades.

Była bardzo bladą i bardzo wzburzoną, ostatnie dni bowiem zachwiały nawet jej odwagę. Sąd nagły i śmierć Eltona zdawały się przestrzegać, że teraz nie ma żartów. W dodatku niepokoiła się pani de Contades tem, że grono, dawniej bardzo liczne, zwolenników bezwzględnych, zaczęło szczupleć; opuścił ją Moreau, za nim poszedł Sieyès, za Sieyèsem nawet Barras. W dniach przyjęć nie stawiał się cza-

sami nikt i bywało, że napróżno oczekiwała na gości.

Spodziewała się, że przesłanie listów Józefiny Bonapartemu złamie tego człowieka, ale poznała zbyt szybko, że nie sprawiło to wrażenia, wszyscy bowiem znajomi stwierdzali, że nigdy może stosunki generała z żoną nie były tak serdeczne, jak teraz.

W tem rozpaczliwem położeniu jedyną deską zbawienia dla niej zdawało się pozyskanie Descampsa, a chciała to uczynić z dwóch względów; po pierwsze dlatego, ażeby się przekonać, że nie straciła wpływów swoich zupełnie nad tym człowiekiem, a powtóre, że wiedziała, iż Gaston w wyjątkowych jest łaskach u Bonapartego.

Lekko i szybko wkroczyła po schodach wspaniałego hotelu, portyer zaś natychmiast wskazał jej zamówiony pokój, nie doszła jednakże nawet na pierwsze piętro, gdy po za sobą posłyszała brzęk szabli i głos dobrze jej znany; uśmiechnęła się słodko, on zaś drzwi otworzył pośpiesznie.

Estella wiedziała dobrze, jaki wybrać pokój! Wszystkie wspomnienia odżyły w Gastonie, gdy spoglądał na okna weneckie, na obicia kosztowne i lustra wielkie, więc też Descamps westchnął głęboko, znalazłszy się tu. Pomimo to nie rzekł ani słowa. Ona zbliżyła się ku niemu i mówiła cicho, miękko:

— Czyż mogłam mieć nadzieję, że znów spotkam się tu z tobą? Nie z mojej rozstaliśmy się winy.

— Nie moją także jest winą, iż dziś wrogami jesteśmy dla siebie.

Jak gdyby nie zważała na te słowa, Estella mówiła pośpiesznie:

— Zniosłabym wszystko, ale znieśćbym nie potrafiła, gdybym się przekonać miała, że ty mną pogardzasz.

Ton, z jakim to mówiła, powaga zachowania i szacunek, jaki mu okazywała, zdumiał Gastona, bąknął przeto:

— Są rzeczy w życiu, których się nie zapomina nigdy!

Ona przytuliła się namiętnie, poczuł oddech jej na twarzy swojej, a woń perfum i włosów Estelli odurzała go silnie.

— Gdy się dwoje ludzi tak bardzo kochało, jak my się kochaliśmy — mówiła coraz czulej — to wtedy nie można się rozejść dla jakiejś urojonej różnicy zdań! Życie tak mało daje nam chwil szczęśliwych, za wszystko tak drogo płacić potrzeba.

Descamps drżał na całem ciele, a jednak przemówił z trudem:

— Przecież miłość nasza właściwie grzechem tylko była!

— Jeżeli kto grzeszył, to ja jedynie—zawołała namiętnie — i winę całą biorę na siebie. Nikogo w życiu tak nie kochałam, jak ciebie, nikt wpływu takiego na mnie nie wywierał. Byłam wtedy młodą, nie miałam szranek żadnych, męczyło mnie małżeństwo z człowiekiem, któremu zaprzedała mnie rodzina moja. Wtedy ty się zjawiłeś, ażeby mnie później opuścić w sposób brutalny!

Podniósł głowę i patrzył na nią przenikliwie, a na ustach miał już słowa cierpkie, których jednakże nie mógł wypowiedzieć, Estella bowiem nie dopuściła do tego.

W głosie jej, w tonie mowy, leżało tyle uczucia, że Gaston uczuł szum w głowie i wzrokiem rozbierał każdy szczegół tej pociągającej ku sobie kobiety.

Dostrzegła to i uśmiechnęła się nieznacznie.

Już sam strój Estelli był dziwnie kuszący; długa, ciemno-zielona suknia, jakkolwiek bardzo szeroka, nie zakrywała jednak nogi maleńkiej, a lekka, czarna gaza, pozwalała się domyślać ramion utoczonych, jak u statuy greckiej. Tę statuę przypominała także bladość oblicza. Na piersiach miała wpiętą różę, której się od czasu do czasu dotykała ręką, włosy zaś umyślnie z niedbałością zaczesane, tem dobitniej odznaczały się przy pełnych wyrazu oczach.

Wogóle w tej kobiecie było coś, co paliło, co mąciło zmysły — było coś z tej jesieni, która jeszcze nęci niebem wspaniałem i barwami drzew. Nęcącą była pani de Contades tą ponętą, której śladem idzie zniszczenie, przesyt, trucizna duszy. To nie piękność słonecznego poranku wiosennego, ani niewinność białej, liliowej duszy, w twarzy kobiety odbiła się cała nerwowość ludzi, odbił się czas, plamy krwi, rozlane na różach.

Estella wiedziała o sile swej i żądzach, jakie wzbudzała w rodzie męzkim, i podług tego umiała zastosować wszystkie ruchy, każdy wyraz, każde spojrzenie...

Gaston Descamps zbyt dobrze znał tę kobietę,

ażeby najróżnorodniejsze myśli nie zaczęły się krzyżować w jego głowie; znał ją dokładnie, a jednak... jednak...

Ona wstała i przyglądać mu się również zaczęła uważnie.

— Jakże bardzo zmieniłeś się od tego czasu!— rzekła wolno i dobitnie. — Ruszasz się teraz inaczej, mówisz inaczej, i nawet twarz twoja zmieniła się zupełnie.

Zaśmiał się przymuszenie.

— Ależ mylisz się chyba, Estello!

— O nie, nie! Znajduję cię innym zupełnie, nie takim, jakim bywałeś dawniej! Nawet manier nabrałeś żołnierskich — dodała pogardliwie. — Nie powiem, ażebyś się miał uszlachetnić w towarzystwie tego plebejusza korsykańskiego. On z was uczynił żołdaków prostych, ten wasz uwielbiany Bonaparte!

Gaston poważnie spojrzał w jej oczy i odparł cicho:

— Mylisz się, on z nas porobił ludzi.

Wzruszyła tylko ramionami i uśmiech pogardliwy przemknął przez jej usta.

— Zresztą zupełnie mi to obojętne, niedługie już będzie jego panowanie.

— Co ty mówisz, kobieto? — porwał się Gaston.

Estella usiadła mu na kolanach, otoczyła go ramionami swojemi i mówiła pośpiesznie:

— Najdroższy! Jeżeli dziś poprosiłam cię na tę schadzkę, to tylko dlatego, że zanadto cię kocham

i postanowiłam ostrzedz cię przed niebezpieczeństwem.

Tuliła się do niego i szeptała namiętnie:

— Nie przerywaj mi i słuchaj. Lada dzień generał Bonaparte runie, grunt cały pod nim jest podminowany. Wytoczono przeciwko niemu skargę o ucieczkę z pod chorągwi i dwie trzecie Rady Pięciuset skarze go stanowczo. Razem z Bonapartem runie ostatnia podpora rzeczypospolitej, Dyrektoryat bowiem oddawna już przeprowadził układy z Bourbonami i rodzina królów nieszczęśliwych znów musi powrócić na tron swój prawowity. To wszystko tylko kwestya czasu i dlatego ostrzegam cię, ażebyś porzucił stronnictwo, niegodne ciebie, stronnictwo, do którego ani z rodu, ani z przekonań nie należysz, pewnym zaś być możesz, że gdy się nawrócisz ku nam, zawsze z otwartemi przyjmiemy cię ramionami.

Jak gdyby zapewnić chciała Gastona, że jej przypuszczenia nie są tylko czczą igraszką słów, przytuliła się do niego gorąco i wielkie, czarne oczy utkwiła w jego wzroku. Circe nie mogła być bardziej ponętną, gdy pętała ofiarę swoją, ale Gaston rozważał ciągle tylko nad tem, co oznaczać mogą jej słowa.

— Czy usłuchasz mnie wreszcie? — szepnęła cicho.

Nie odpowiedział nic, ona zaś mówiła dalej:

— Kochałam cię i kochać cię będę zawsze, wracaj do nas...

Descamps drżał na ciele całem, piersi pracowały ciężko, ręce zaciskał aż trzeszczały stawy i zda-

wało mu się w tej chwili, że nie ma innego szczęścia na świecie, jak tylko leżeć u nóg tej kobiety i usta przyciskać do jej warg rozpalonych; wodził błędnemi oczyma wokoło i starał się nie patrzeć wprost na nią, bąknął wreszcie:

— Znam cię, Estello, i wiem, że śmiałaś się zawsze z tego słodkiego wyrazu — miłość. Ileż to razy widziałem, jak drwiłaś z tych, którzy leżeli u nóg twoich i okłamywałaś wszystkich.

— Ażeby samej nie dać się okłamać — dokończyła.—Czy byłbyś przyszedł dziś, gdybyś mnie nie kochał więcej?

Gaston oddychał ciężko, ale nie zdążył odpowiedzieć, ona bowiem mówiła pośpiesznie:

— I cóż właściwie masz mi do zarzucenia?! Chciałam być szczęśliwą w życiu i starałam się dokonać tego na wszelki sposób, a my kobiety nie mamy tej siły, jaką wy rozporządzacie, my używać musimy przebiegłości wtedy, gdy wam wystarcza tylko ramię silne, nam nie wolno bawić się w otwartość, odwagę i szczerość, tego bowiem zabraniają nam zwyczaje towarzyskie i, jak to ludzie zwykli nazywać, moralność! Musiałam prowadzić wojnę, a prowadziłam ją na swój sposób.

— I właśnie to odstręcza mnie od ciebie — rzekł—ty nie przebaczasz nikomu.

— To prawda! Jeżeli kogoś kocham, to z duszy całej, a jeżeli nienawidzę, to strasznie! Mój Gastonie, życie nasze nie jest idyllą pasterską i nie powinno nią być nigdy. Prawo i bezprawie—to tylko pilka, którą bawią się moraliści, oni każde łajdactwo

zakryją frazesami pięknemi. Znam tych ludzi, tych moralistów, tych mówców i czuję do nich wstręt nieprzezwyciężony.

Wstrzymała na chwilę potok wymowy swojej i choć wargi jej drżały, przezwyciężyła siebie i znów zapytała czule:

— Rzecz skończona, opuszczasz zatem Bonapartego, i przechodzisz do nas?

— Nie mogę!

Jak lwica skoczyła ku niemu:

— Nie możesz?! Dlaczego?...

— Przywiązałem się do generała, a wiarołomnym być nie potrafię.

— Zapominasz, że przodkowie twoi krew przelewali za króla!

— Króla nie ma już dziś we Francyi, on umarł—na zawsze!

— Nie, nie na zawsze, król powróci jeszcze, a chwila ta bardzo jest blizką!

— Mylisz się, Estello, i błądzicie wy wszyscy, którzy oddajecie się takim złudzeniom. Francya się dziś odrodziła, ale wy takimi pozostaliście ciągle, jakimi byliście dawniej.

Pani de Contades wzburzona popatrzyła na Gastona, zacisnęła ręce i rzekła sama do siebie, tupiąc nogą o podłogę:

— Czyż wszystkie starania moje na nic się nie zdały?!

Raz jeszcze przybliżyła się do Gastona i zawołała gniewnie:

— Czyż ten Bonaparte więcej wart dla ciebie, niż cała przeszłość Francyi i rodu d'Escamps'ów?

— Honor mój więcej znaczy, w moim rodzie bowiem nie było nigdy zdrajców, którzyby ojczyznę swoją zaprzedawali wrogom.

Każdy wyraz mówił Descamps bardzo dobitnie, patrząc przenikliwie na Estellę, ona zaś wzdrygnęła się i zapytała z gniewem:

— Co znaczą te słowa?

Descamps zacisnął wargi, co widząc pani de Contades dodała z sarkazmem:

— Na nierówną grę puścił się twój bohater, ale zobaczymy, czy karty mu posłużą. Słyszałam, że podobno wojna ma być wypowiedzianą Anglii i że on objąć ma główne dowództwo, powiedz mi zatem, kiedy opuszcza Paryż?

Mówiła tak spokojnie, że Gaston gotów był powiedzieć wszystko, ale przypomniał sobie słowa Bonapartego i chociaż serce mu biło gwałtownie, nie umiał skłamać na razie stosownie do wskazówek generała, nie patrząc przeto na Estellę bąknął niewyraźnie:

— Istotnie krążą tego rodzaju pogłoski.

— I kiedyż wyjeżdża? — powtórzyła napozór obojętnie.

— Nie wiem — odparł cicho, a wyrazy te nie chciały mu przejść przez gardło.

— Przecież, jako adjutant, znasz chyba termin?...

Gaston milczał i wzrok uparcie trzymał wlepiony w ziemię, ona znów ramię założyła mu na szyję, usta do ust jego prawie przycisnęła i pytała:

— Powiedz, nie obawiaj się niczego?

Descamps gwałtownie tarł sobie skronie i wreszcie rzekł cicho, nie patrząc na nią:

— Bonaparte wyrusza 17-go Brumaire'a.

— Czy ty wiesz o tem napewno? — zapytała, bacznie przyglądając się Gastonowi, jak gdyby podejrzewała jego prawdomówność, powtórzyła też natychmiast:

— Czy dajesz mi słowo na to?

— Moje... słowo .. — odparł tak cicho, że zaledwie dosłyszała Estella.

Pani de Contades urwała nagle rozmowę i zaczęła rozważać wszystko dokładnie, nie zwracając już teraz nawet uwagi na młodego oficera.

Jeżeli Bonaparte opuści Paryż w dniu 17-tym Brumaire'a, to dla dokładnej inspekcyi portów najmniej zabawi dni dziesięć po za stolicą, a w takim razie, choć to był dzień 14-ty, pozostają jeszcze trzy dni do przeprowadzenia układów z Bernadotte'm, układów, będących już na najlepszej drodze. Wiedziała Estella, iż Bernadotte zazdrosny był o władzę Bonapartego i zaprzysiągł mu zemstę.

Bernadotte objąć miał dowództwo nad armią zachodnią, której najbliższe pułki znajdowały się w Chartres; pułki te mogłyby się zbliżyć ku Paryżowi w przeciągu czterech do pięciu dni i mogłyby zmusić Dyrektoryat do zrzeczenia się władzy. Reszta zawisła już tylko od księcia-pretendenta.

Margrabina spostrzegła, że zbyt długo zatapia się w myślach własnych, więc znów swobodnie i wesoło zwróciła się do Gastona:

— Prawie pewną jestem, że niezadługo żałować będziesz, iż nie powróciłeś do nas, nietylko bo-

wiem honor, ale i rozum prosty nakazywałby ci opuścić Bonapartego.

— Ani rozum, ani tem mniej honor — odparł już spokojnie Descamps.

— Zobaczymy! — zawołała, a wyprostowawszy się dumnie, mówiła z ogniem w oczach:

— Czyż ten awanturnik korsykański ma się szczycić, że w najbliższem jego otoczeniu znajdują się ludzie, których przodkowie walczyli pod Rocroy?

— Nie wiem, jak tam przodkowie moi walczyli pod Rocroy, ale sam na własne oczy widziałem, jak Bonaparte walczył pod Arcole.

— Nie mówmy lepiej o tem, widzę bowiem, że nie rozumiesz nawet tego, iż są rzeczy, o których nie można dysputować, ale które odczuwać potrzeba—i zdenerwowana, choć napozór uśmiechnięta, podała mu rękę.—Bądź zdrów, Gastonie, i pamiętaj, że wawrzyny wojenne nie mają tyle woni, ażeby mogły unicestwić zapach krwi niewinnie przelanej dzięki rewolucyi.

Pożegnanie zimne już teraz było, ale kiedy ona odeszła, Gaston rzucił się na kanapę i jakiś nieznany przedtem strach go ogarnął.

Wiedział, że ta kobieta stoi nad przepaścią, że on powinien ją był ratować i—nie śmiał. Zerwał się, chciał biedz, przywołać ją, ostrzedz, ażeby natychmiast opuściła Paryż, nie zwlekając ani minuty nawet, ale ona zniknęła już z jego oczu. Przypomniał sobie słowa Bonapartego i padł na fotel znękany.

Może przeklinał w tej chwili Gaston konflikt pomiędzy miłością a obowiązkiem długo bowiem siedział zadumany, zanim odważył się wyjść z Palais Royal.

Każdy dzień zdawał się teraz przybliżać katastrofę nieuchronną.

ROZDZIAŁ XVIII.

18-ty Brumaire'a.

Dnia 15 napisała Estella krótki list do Grandmaisona, ażeby zarówno on, jak i koledzy jego przygotowani byli na dzień 21 Brumaire'a, ale już dnia 16 doniosła znów, że Bernadotte zgodził się na rozwiązanie formy Dyrektoryatu i na rozpoczęcie narad co do ułożenia nowej konstytucyi.

Pomimo, że bacznie śledzono wszelkie kroki przy Rue des Victoires, żadnej zmiany dostrzedz nie można było w mieszkaniu Bonapartego, cisza też zupełna niepokoiła prawie rojalistów.

Rankiem dnia 18 pani de Contades w towarzystwie kilku pań, markiza de Champfleury i młodzieży zrobiła wycieczkę do Billancourt, gdzie obejrzeć miano pałacyk myśliwski, jaki wybudował tu sobie markiz.

Całe towarzystwo wyruszyło powozami, noszącemi do dnia dzisiejszego jeszcze nazwę *mail-coach*, a które podówczas wprowadził w użycie po raz pierwszy hrabia Artois.

W najlepszym humorze powracano do stolicy, powietrze było przepiękne, złocisty dzień jesienny, a z pól dolatywał aromat traw dojrzałych.

Wino, wypite przy wystawnem śniadaniu, podniecilo umysły, rozmawiano więc wesoło i rzucano dowcipy. Kiedy przejeżdżano przez Asnières, Estella zawołała:

— Patrzcie panowie, co ci ludzie zrobili z pałacyku hrabiego Artois! Tę uroczą rezydencyę zamienili w szynkownię prostą! To oburzal...

— Prawdopodobnie—wtrącił Armand de Vitry— hrabia znów przywróci dawną świetność temu pałacykowi i to już niezadługo

— Byle tylko zażądał zapłaty komornego za te lat kilka -- zaśmiał się Champfleury, pani de Contades natomiast zaprotestowała z dziwnym błyskiem w oczach:

— Złoto nie może regulować naszych rachunków zaległych wobec rzeczypospolitej!

— Niestety! znam ja to dobrze i wiem, że jeszcze żadna rzeczpospolita nie miała tego pięknego zwyczaju, ażeby płacić swoje długi — zaśmiał się markiz.

— *Eh bien!* zaprowadzimy masę konkursową, zawsze coś przecie posiadają! — zawołał Armand, a słowom tym towarzyszył wybuch głośnego śmiechu.

Po godzinie 11-tej rano nadjechano do Point du Jour, gdzie brama odgradzała miasto od przedmieść.

Bramę zastano zamkniętą.

— Co to znaczy?! — zawołał markiz, młodzież

zaś wyskoczyła z powozu i zaczęła nalegać o otwarcie bramy.

Dopiero na energiczne upominania się uczyniono zadość żądaniu, ale natychmiast po przejeździe powozów baryerę znów zamknięto szczelnie. Pani de Contades i jej otoczenie spostrzegli, że na warcie stało tym razem daleko więcej żołnierzy, aniżeli wtedy, gdy rano wyjeżdżali za miasto; najmniej dwie albo trzy kompanie zgromadzono tu, a każdy z żołnierzy trzymał broń swoją do boku.

W niewielkiem oddaleniu ustawiono w kilku punktach różne grupy wojska, które pozwalało też sobie na dowcipy, nie zawsze pochlebne dla przejeżdżających arystokratów.

Pani de Contades dostrzegła wysoką postać z pióropuszem na głowie i z szarfą przewieszoną przez ramię.

— Ah, to generał Serrurier!— zawołała i zdaleka kłaniać się zaczęła generałowi.

— Cóż to się stało, panie generale, czy nie wolno przejeżdżać?

— Ależ owszem, do miasta wpuszczamy wszystkich, ale z miasta nie wypuścimy ani dziś, ani jutro nikogo.

— Dlaczego?— wysoce zdumiona i zaniepokojona spytała Estella.

— Nic tak wielkiego — uśmiechnął się złośliwie Serrurier — zdaje się tylko, że generał Bonaparte ma w tej chwili jakąś pogadankę z Dyrektoryatem w Tuileryach, a my pilnujemy, ażeby mu nikt tej rozmowy nie przerwał.

Twarz pani de Contades stała się nagle bladą,

jak płótno, głos jej też zamierał, gdy wykrztusiła jeszcze z siebie pytanie:

— Czyż generał Bonaparte znajduje się dziś w Paryżu?

Generał Serrurier wybuchnął śmiechem brutalnym:

— Przysiągłbym, że bardzo wiele ludzi wyprawiłoby ucztę, gdyby go dziś nie było w Paryżu, ale na nasze szczęście nie ruszył się ze stolicy. Żałuję was bardzo, ręczę bowiem, że i pani chętnie wysłałabyś go do Egiptu.

Nie słuchała więcej, chociaż Serrurier śmiał się i mówił coś jeszcze i krzyknęła na woźnicę:

— Pędź do domu, co koń wyskoczy!...

Nietylko panią de Contades, ale i całe otoczenie ogarnął jakiś dziwny niepokój.

Generał w Tuilleryach—mówiła do siebie w duchu Estella i napróżno siliła się odgadnąć, co mogło zajść pomiędzy nim a dyrektorami. To jedno wiedziała wszakże, iż Descamps ją zdradził, podając dzień mylny.

Przygryzła wargi, że aż krew ukazała się na nich, i w milczeniu już teraz jechano dalej. Żołnierze brutalni, generał Serrurier drwiący — wszystko to wskazywało, że musiało zajść coś nadzwyczajnego, ale czy to był bunt, czy powstanie, tego nie mogła zrozumieć na razie.

W mieszkaniu wszystko zastała w zwykłym stanie i tylko oznajmiła jej służba, że pan de Larin-

guet dwukrotnie już przychodził i czekał na jej przybycie.

— Nie można zwlekać—zawołała—natychmiast jadę do Tuilleryj! Kto z panów zechce mi towarzyszyć?

Armand de Vitry i markiz de Chamfleury natychmiast ofiarowali swą pomoc, reszta zaś towarzystwa rozeszła się do domów.

Im bliżej centrum miasta, tem hałas stawał się większy i wzmagał się ruch po ulicach, zbyt dobrze zaś znała Estella Paryż, ażeby nie wiedziała, że wrzenie jest ogólne. Kawiarnie i restauracye przepełnione, przed wystawami sklepów gromadziły się tłumy, a każdy, kto tylko szedł od strony Tuilleryj, zatrzymywany bywał i wypytywany o wszelkie drobnostki Robotnicy w bluzach swoich i wszystkie żywioły podejrzane z dzielnicy nadsekwańskiej śpieszyły ku Tuilleryom, ale ci ludzie wywoływali tylko hałas, nie wydając okrzyków, pełnych grozy. Ile razy ukazał się hełm dragona, tłum rozstępował się bez szemrania. Ulicami przeciągały silne patrole, z dumą spoglądające na tłum.

— Nie wygląda to wcale na rewolucyę—mruknął Armand.

Zegar umieszczony na pawilonie Colberta wybijał właśnie dwunastą godzinę, gdy pani de Contades z towarzyszami przybliżyła się do Tuilleryj. Pomimo, że niezliczone masy ludu zgromadziły się tu, porządek panował zupełny, natomiast ci, którzy znajdowali się po za dziedzińcami i ogrodami, zaczęli się niecierpliwić coraz więcej, słychać też było przekleństwa i głośne okrzyki.

Nagle tłum musiał się rozstąpić, wśród odgłosu trąb i bębnów pędziła konnica i w jednej chwili cały ogród zapełnił się żołnierzami. O ile oficerowie niespokojnie jeździli w tę i ową stronę, o tyle żołnierze żadnego nie okazywali wzruszenia i oparci o broń swoją, czekali cierpliwie rozkazu.

Tłum hałasował bez przerwy.

— Patrzcie! już wychodzą z sali!—wołano, inni zaś dodawali:

— Czy nie uważacie, że wyglądają wszyscy jak pudle, które wrzucono nagle do wody.

— Już to Bonaparte dobrze ich musiał namydlić!

— Niech żyje generał Bonaparte!—zawołano.

Powóz Estelli mógł się wolno tylko posuwać naprzód, posłyszała też, że ktoś zrobił uwagę:

— Czy nie lepiej byłoby pani udać się pieszo? Trochę to niebezpieczne.

Odwróciła się i zobaczyła Hektora, szczerze też ucieszona zawołała, wysiadając z powozu:

— Nie mogłeś zjawić się bardziej w porę, opowiedzcie mi, na miłość Boską! co się tu dzieje właściwie!

— Nic więcej, jak tylko to, że Bonaparte w tej chwili ma zamiar rozpędzić posłów, odjąć władzę dyrektorom i zmienić konstytucyę! Zdaje się również, że dobrze podłożono minę, wybuchnęła ona prędzej, aniżeli nasza. Zresztą przybliża się ku nam Grandmaison, on, jako świadek, najlepiej nam to opowie.

Wistocie pomiędzy deputowanymi, którzy opuszczali teraz salę posiedzeń, prawie na czele kroczył Grandmaison, czerwony z gniewu i żywo gestykulu-

jący. Spostrzegł on Estellę i natychmiast przedostał się do niej, wołając:

— Zdrada! Najhaniebniejsza zdrada! Bonaparte napadł na nas jak bandyta, nie uszanował konstytucyi i teraz Dyrektoryat jest rozwiązany.

Pani de Contades odzyskała już krew zimną.

— Opowiedz mi wszystko po kolei, kochany panie Grandmaison—rzekła spokojnie.

Grandmaison zaczął opowiadać.

— Już o szóstej godzinie rano zgromadzili się przy Rue des Victories oficerowie razem ze swoimi podkomendnymi pod pozorem zasiągnięcia jakichś zleceń od Bonapartego. Sebastiani poprowadził z sobą dwustu dragonów, ośmiuset zaś ustawił w ogrodzie Tuilleryjskim. Lefébvre, komendant Paryża, nie wiedząc, co to ma znaczyć, zdumiony, udał się do mieszkania Bonapartego, gdzie jednak w krótkim czasie zdołano go przekonać; przyłączył się zatem do sprzysiężonych. Gohier natomiast stawił opór zawzięty i nie chciał słyszeć o niczem. O ósmej zebrała się Rada Starszych w Tuilleryach i teraz odsłonił się cały plan, jaki z góry przygotował Bonaparte i Sieyès. Na mównicę wszedł deputowany Cornet, mówił długo o spisku zagrażającym ojczyznie i postawił wniosek, żeby Bonaparte objął dowództwo naczelne nad wszystkiemi wojskami paryzkiemi, co oczywiście równa się władzy dyktatorskiej. *Corps législatif* i Rady miały się w tym celu zgromadzić jutro w Saint-Cloud.

Grandmaison odetchnął i mówił dalej:

— Wniosek ten, pomimo opozycyi, przeszedł, Cornet zaś udał się natychmiast do Bonapartego, ażeby go o rezultacie zawiadomić. Nie upłynęło nawet

pół godziny, gdy w Tuilleryach zjawił się Bonaparte na czele wszystkich oficerów swoich. Pojawienie się generała, obecność siły zbrojnej, przestraszyły wszystkich i, co najdziwniejsze, wkroczenie jego przywitano oklaskami, a kiedy o godzinie jedenastej zebrała się Rada Pięciuset, dekret już był gotowy. Kazano odczytać go głośno, ale pomimo, że wywołał ogólne niezadowolenie, nikt nie śmiał przeczyć, formalnie bowiem był zupełnie prawidłowy. Znalazły się wprawdzie żywioły opozycyjne, ale Lucyan Bonaparte, jako prezydent, nie dopuścił do słowa, rozeszliśmy się przeto w dzikim nieładzie, postanawiając zebrać się jutro w Saint-Cloud. Oto i wszystko!

— Ależ to rzecz niesłychana! — zawołała pani de Contades, kiedy Grandmaison skończył—to niemożliwe! Cóż Dyrektoryum mówi na to?

— Właśnie, że w tym wypadku najgorsze jest postępowanie ministeryum! W tej chwili dowiedziałem się, że Roger, Ducos i Sieyès podali się do dymisyi, mówią także o Barrasie.

— Czyżby nawet Barras nas opuścił?

— On gotów to zrobić najpierwszy! Zresztą wszyscy oni niewiele warci. Gohier i Moulins pozostali jeszcze na naradzie, mówią coś, protestują, reklamują, ale nikt ich nie słucha.

Grandmaison zrozpaczony patrzył w twarz Estelli, ona zaś zawołała śpiesznie:

— Pozostaje więc nam tylko Bernadotte! Co się z nim dzieje?

— Wiem tylko, że rano był w mieszkaniu Bonapartego i że podobno doszło pomiędzy nimi do

scen bardzo niemiłych. Powiadają, że Bernadotte chce opuścić Paryż.

— Tłómacz się jaśniej, panie Grandmaison, *opuścić* chce Bernadotte Paryż, czy też postanowił *uciekać?* Teraz ucieczka byłaby zbrodnią, o niej nawet marzyć nam nie wolno!

— Cóż więc mamy uczynić, pani margrabino?

— Zebrać wszystkie siły, jakie nam jeszcze pozostały, i walczyć!

— Chodź ze mną, najprzód udamy się do Tuilleryj i zobaczymy, kto tam jeszcze pozostał. Bonaparte zdemaskował się teraz, to zdrada stanu i można go oddać pod sąd wojenny!

— Nie przedostaniemy się do Tuilleryj. Czy pani widzisz ten tłum?

— Chodźmy, panie Grandmaison!

Tłum cisnął się coraz więcej do bram i na schody pałacu; Estella obejrzała się, czy Hektor jest w pobliżu, ale masy ludu odgrodziły ją od niego.

Blada, z zaciśniętemi usty, rozpychając wszystkich, dobiła się ostatecznie do przedsionka, pomimo, że wokoło niej raz wraz wybiegały przekleństwa, że napierały tysiące ludzi. Byli także nieliczni, którzy krzyczeli:—Precz z dyrektoryatem! — ale tych zagłuszał tłum groźny i głos ich niknął zupełnie.

Estella, silna wiarą swoją, szła naprzód, nie zważając nawet na żołnierzy, ani na bagnety. Dotarła do schodów wiodących do sali posiedzeń, i wtedy spotkała Gohiera, jednego z tych niewielu dyrektorów, którzy naprawdę szczerymi byli republikanami.

— Obywatelu dyrektorze—rzekła, zdecydowana na wszystko — rozumiem doskonale, że różnym słu-

żymy bogom, a jednak w tym wypadku musimy iść ręka w rękę. Dyrektoryat musi wzbudzić w sobie energię, a wtedy źle będzie z Bonapartem.

Gohier zrozpaczony wzruszył tylko ramionami, a twarz jego świadczyła o wielkiem przygnębieniu.

— Zapóźno już, niestety! Koledzy opuścili mnie zupełnie, nikomu już nie wierzę, wszyscy mnie zdradzili!

— Gdzie Barras?—zawołała pani de Contades.

— Tchórz i zdrajca! Podobno w tej chwili znajduje się w pałacu Luksemburskim—i zrobił ruch pogardy ręką—ten najgorszy ze wszystkich!...

— Choćby najgorszym był nawet, odszukać go muszę! Jeżeli tylko jest ratunek jeszcze możliwy, tam go szukajmy! Chodźmy razem!

Gohier nie zdążył odpowiedzieć, w tej chwili bowiem rozległ się krzyk okropny w tłumie i pani de Contades zbladła i krzyknęła:

— Ci ludzie bagnetami chcą nas rozpędzić!

Istotnie tam, gdzie zbyt wielkie nagromadziły się masy ludu, jeden z oficerów kazał bagnety żołnierzom nastawić do ataku. Deputowani przelękli, gromadnie opuszczali salę, oficer zaś z szarfą przewieszoną przez ramię, wydawał groźne rozkazy.

Pani de Contades zwróciła oczy swoje w tę stronę i w oficerze poznała Gastona Descamps'a, nie namyślając się przeto, znów przeciskać się zaczęła przez tłum i po chwili była już przy nim.

Gaston dostrzegł ją i pobladł ogromnie, ona zaś schwyciła go za rękę i mówiła głosem ochrypłym:

— Zdradziłeś mnie haniebnie!

Nozdrza jej poruszały się gwałtownie, oczy wybiedz chciały z oprawy, zacisnęła pięście i całą postacią zdradzała gniew i nienawiść.

— Mnie, mnie zdradziłeś! Mnie, którą kochałeś, nędzniku, z którą tyle chwil szczęśliwych przeżyłeś, której przysięgałeś wierność dozgonną! I dla kogo mnie zdradziłeś! Dla tego bandyty, krzywoprzysięzcy korsykańskiego, który na wyspie swojej nauczył się sztuczek złodziejskich, ażeby je teraz zaaplikować z dobrym skutkiem na ciele Rzeczypospolitej? Zdrajcą jesteś, podłym, nikczemnym człowiekiem, a ja wierzyłam słowu szlachcica! Ten bożek wasz, ten bałwan rozum wam odbiera, skoro zapominacie nawet o obowiązkach krwi i imienia!

Gaston, stał jak przybity do ziemi, słuchając tych słów obelżywych, które rzucała mu w oczy kobieta drżąca na ciele całem, ręką tylko przytrzymywał szablę i rzekł przez zaciśnięte zęby:

— Zapominasz się pani!

— Zapominam się? Nie! Widzę tylko, że ten wasz władca dobrze płacić musi za usługi wyrządzone sobie!

— Nie takie poziome cele mamy przed sobą— odparł Gaston głucho.

— I jakież to te piękne cele wasze? — zawołała z bolesną ironią.

Gastona oczy błyszczały, gdy podszedłszy krok jeszcze ku młodej kobiecie, zawołał:

— Naszem zadaniem będzie wymierzać karę na tych, którzy tonęli w gnuśności i kradzieżach, i pomimo to, chcieli dominujące zajmować stanowisko

w państwie! Bez litości gnębić będziemy zdrajców i niepoprawnych grzeszników!

Estella wybuchnęła śmiechem, ale w tym śmiechu znać było rozpacz i dumę zgniecioną, Descamps zaś wołał, nie uważając na nic:

— Tak, pani! Czasy, w których pani uśmiechem jednym a słodkim zdobywałaś zwolenników, gotowych sumienie zaprzedać dla ciebie, te czasy minęły już bezpowrotnie i dziś nadeszła chwila kary. Czemże pani jesteś? Zdrajczynią, niczem więcej, chciałaś przecież ojczyznę zaprzedać Anglii!

Wzrok Descamps'a stawał się dzikim, gdy kończył:

— Sumienie może ci nic nie wyrzucać nawet, bo ty nie masz sumienia, kobieto, ale wszyscy uczciwi ludzie, cała Francya ze wstrętem odwróci się od ciebie i imię twoje przeklęte zostanie na wieki!

Pani de Contades spostrzegła, że Gaston tak był wzburzony, iż tu nie pomogłyby ani czułe jej zaklęcia, ani ton ironiczny, ani też powoływania się na tradycye szlacheckie, ratując przeto sytuacyę, dumnie podniosła głowę do góry i rzekła:

— Biada narodowi, który własnego swojego zamordował króla! Nienawidzę kraju, którego ziemia krwią jest zbroczona!

Gaston nic nie odpowiedział, ona zaś bez pożegnania oddalila się natychmiast, wiedziała bowiem, że każda minuta jest teraz drogą.

Na dole w przedsionku czekał na nią Hektor i Grandmaison, około których zgromadziło się całe grono deputowanych rojalistycznych, oczekujących na

pojawienie się Estelli, ażeby z ust jej posłyszeć, co dalej uczynić należy.

Dzwony w kilku kościołach naraz uderzyły na trwogę, dźwięk zaś ten wzbudził bolesne wspomnienia w duszy rojalistów.

— Czy znasz ten odgłos, panie Arena? — rzekła, chwytając za rękę deputowanego—czy wiesz, co to znaczy? To podzwonne dla Rzeczypospolitej!

— Nie pani! Do jutra mamy czas jeszcze!

— Dobrze zatem, jedźmy natychmiast do pałacu Luksemburskiego — zawołał — niepodobna, ażeby Barras wobec tego zamachu miał być zupełnie obojętnym.

Estella wsiadła natychmiast do powozu razem z Areną i Grandmaison'em, Hektor zaś i około tuzina deputowanych pośpieszyli za nią. Przejazd nie był bynajmniej łatwy, szczególniej przez mosty Sekwany, gdzie tłum co chwilę zatrzymywał jadących. W tym tłumie głów ludzkich ona szukała jednej tylko, i jeden tylko wyraz wyprowadził ją z równowagi:—Bonaparte!

To miasto wzburzone, ci przedstawiciele ludu, uciekający teraz w nieładzie, ci żołnierze, miarowym krokiem przechodzący przez ulice—wszystko to zdawało się Estelli snem tylko, złudzeniem, po za którem stała jedna postać rzeczywista — on—Bonaparte! Po za nim nie widziała nic. Czy ten lud chce być wolnym, czy tam w pałacu Tuilleryjskim odbywała się wielka tragedya dziejowa, czy ludzkość olbrzymiemi krokami chciała podążać naprzód, to już nic zgoła nie obchodziło pani de Contades. Frazesy, teorye—to głupstwa, czcze słowa nic więcej! Jej zdawało

się teraz, że tylko dwoje ludzi jest na świecie — on i ona. Ona, gracya, wykwint salonów, bogini, na której kończy się komedya życia wtedy, gdy nagle przychodzi człowiek zimny, ponury, brutalny, żołdak z wszelkiemi przywarami i cierpkością obozową, i ten żołdak ośmiela się kłaść buty brudne na łóżko wspaniałe królów francuskich. Gdyby mogła, kazałaby tego człowieka rzucić pod koła, drzeć z niego pasy, chciałaby go zetrzeć na pył...

Nie mogła tego uczynić, zbyt słabą była. Załatwiła się ze wszystkimi, z Rzecząpospolitą zgniłą, z Dyrektoryatem, który nie pragnął niczego więcej, jak tylko użycia, z deputowanymi sprzedajnymi i już stanąć miało u celu, gdy nagle pojawił się Bonaparte.

Zatrzymano się przed pałacem Luksemburskim, gdzie również wojsko nagromadzone było w wielkich ilościach, gdzie jednak ścisk nie panował tak ogromny, jak przy Tuilleryach. Lud wprawdzie niechętnie spoglądał na pałac Luksemburski, ale i tu nie przybierał groźnej postawy, jak gdyby wiedział, że panowie, którzy obecnie rządzą, skończyli już swoje panowanie na zawsze. Ten lud wiedział, że Roger, Ducos i Sieyès zrezygnowali i pogodzili się z Bonapartem, a chociaż Gohier i Moulins protestowali ustawicznie, to jednak głosy ich nie znaczyły nic wobec takiej potęgi. Pozostawał więc tylko jeszcze Barras, ten Barras, wszechwładny na pozór.

Pani de Contades w towarzystwie deputowanych wkroczyła na schody, pomimo, że chciano zagrodzić im drogę, Hektor zaś mruknął:

— Tu naprawdę czuję zapach trupi.

Drzwi wszelkie stały otworem, lokaje biegali w tę i ową stronę bezradnie, szafy i biurka wszystkie były otwarte, a rozmaite papiery leżały w nieładzie.

Dzień listopadowy bywa najkrótszy, zmrok przeto począł już zapadać, gdy całe towarzystwo znalazło się w wielkiej sali przyjęć. Pani de Contades rozpytywała się wszędzie i ostatecznie dowiedziała się, że Barras zamierza pośpiesznie wyjechać na wieś do majątku swego Grosbois. Właśnie w tej chwili pakowano rzeczy, czynni zaś przy tem byli wszyscy służący, sekretarze i wogóle ludzie, otaczający wielkiego satrapę z pałacu Luksemburskiego.

Sardanapal, uciekający w popłochu...

Barras znajdował się w małym saloniku czerwonym, gdzie po wielu trudach odnalazła go pani de Contades, a odnalazła nie przygnębionym, ale uśmiechniętym, wesołym i tak spokojnym, jak gdyby nie chodziło o losy Francyi, a z Francyą o losy świata całego.

Zobaczywszy panią de Contades, podszedł z uśmiechem:

— Ach! to pani! zupełnie nie oczekiwałem takiego przybycia, zwłaszcza teraz, kiedy postanowiłem wyjechać z Paryża.

— Czyż to być może?! Pan wyjeżdżasz!?... — zawołała Estella.

— Jak pani widzi; postanowiłem usunąć się na pewien czas ze stolicy.

— Teraz!? Kiedy Rzeczpospolita może runąć?

— Jeżeli runie jedna, to odbudują drugą—rzekł

Barras obojętnie — czy zaś taka będzie forma rządu, czy inna, to już mnie zgoła nic nie obchodzi.

Arena wmieszał się do rozmowy i krzyknął popędliwie:

— Chcesz nas pan zatem opuścić i nietylko nas, ale Dyrektoryat cały, chcesz się poddać władzy dyktatora?

— Cóż mnie to wszystko obchodzi? Przed chwilą był tu u mnie Talleyrand i w bardzo ładnych barwach przedstawił mi pobyt na wsi, przecież nawet Horacy powiada: „*Beatus ille, qui procul negotiis!*“

Nie mogła już dłużej wytrzymać pani de Contades, krzyknęła więc gniewnie:

— Dyrektorze! nie pora zabawiać się w cytaty z Horacyusza, teraz ratować trzeba Rzeczpospolitą!

— Bardzo to zabawne, co pani mówisz, ale przecież oboje wiemy, co sądzić o tej formie rządu.

— Nie można jednak pozwolić się wyrzucać za drzwi na wzór pierwszego lepszego lokaja!

— *Ventre-saint-gris!* — krzyknął Grandmaison, chwytając za guzik Barrasa — wszystko teraz zależy od pana, wydaj rozkazy odpowiednie, a jeszcze może być dobrze! Pozostał nam Bernadotte, który nie chce słuchać komendy uzurpatora.

Wołano, gestykulowano, przedkładano Barrasowi, ale on, jak był z początku, tak pozostał do końca obojętny, wszelkie perswazye odbijały się o niego, jak o skałę nadmorską, rzekł też wreszcie spokojnie:

— Skoro Bonaparte chce być konsulem, to niechajże sobie będzie! Z nim nikt nie poradzi.

Głośny śmiech margrabiny odpowiedział na te wyrazy, a śmiech ten zmroził nawet zimnego Barrasa.

— Racz nam przeto powiedzieć — rzekła — ile zapłacił ci generał za tę uległość? Przecież my gotowi byliśmy dołożyć kilkadziesiąt tysięcy franków!...

Barras zbladł, ale nie tracąc krwi zimnej, zwrócił się do Estelli:

— Mówisz pani rzeczy takie...

— O których mówić nie wolno, ale które chyba zdarzają się aż zanadto często.

Pani de Contades chciała mówić coś więcej, ale w tej chwili Hektor ujął ją pod ramię i opowiedział jej przygodę, jaka wydarzyć się miała przed kilku dniami w domu Bonapartego. O historyi tej zaś rozmawiano już w przedpokojach pałacu Luksemburskiego.

Barras jakoby miał przyjść w odwiedziny do generała Bonapartego i wszystko było spokojnie aż do chwili, gdy dyrektor po pożegnaniu zamierzał przejść do powozu. Najbliżsi widzieli wtedy, że Bonaparte zaczął nagle mówić szybko, Barras coś odpowiedział i wywiązała się kłótnia, której rezultatem było, że Bonaparte podniósł rękę do góry, ścisnął Barrasa za gardło i bił, rzucając przekleństwa. Nazajutrz dyrektor nie pokazał się w mieście, ślady bowiem tego zajścia były zbyt widoczne. Mówiono, że od tej pory Barras zabobonnie wierzył w siłę i pięści Bonapartego.

Kto był przyczyną tego zajścia, wiedziała dobrze pani de Contades, nie nalegała przeto więcej,

gdy Barras, raz jeszcze wzruszając ramionami, odezwał się do zebranych:

— Czyńcie panowie, co chcecie, ja odjeżdżam do Grosbois, a jutro składam dymisyę moją przed Radą Pięciuset.

Gohier zrozpaczony opuścił głowę ku ziemi, Estella zaś pogardliwie wzruszyła ramionami, ale Hektor ani na chwilę nie stracił fantazyi, rzekł też, podając rękę pani de Contades:

— Przyznasz pani, że trudno z większą elegancyą pozbywać się dostojnego urzędu? Jedzie sobie na wieś! Jakież to niewinne! Doprawdy to dziwne, że Rzeczpospolita nie mając nawet pod ręką Katona, nie potrafi sobie wyszukać arlekina, gotowego umrzeć wśród oklasków tłumu.

Pani de Contades milczała i zegar wybijał szóstą godzinę, gdy opuszczała w towarzystwie Hektora, Grandmaisona, Areny i dwóch, czy trzech deputowanych pałac Luksemburski. Ciemno już było zupełnie na dworze, pomimo to jednak wojska stały ciągle pod bronią, biwakowano i rozłożono namioty.

— Nie można tracić nadziei zupełnie — rzekł Grandmaison — odczekajmy dnia jutrzejszego, a zobaczymy, co powie narada w Saint-Cloud. Dzisiaj była to tylko napaść, ale jutro znaleźć się może sztylet na uzurpatora. Dziś jeszcze zbiorę wszystkich przyjaciół i postanowimy, co dalej wypada nam uczynić!

Hektor łagodnie położył rękę na ramieniu porywczego Grandmaisona i rzekł z uśmiechem:

— Drogi panie, dziś w Paryżu rządzi palasz

i bagnet, zanim też uradzicie cośkolwiek, już będzie po was.

— Tak źle nie jest! — krzyknął Arena o temperamencie Korsykanina—po trupach naszych przejść będą musieli! Musimy przedewszystkiem wiedzieć, dokąd zmierza Bonaparte.

Pani de Contades wtrąciła się do rozmowy:

— Gdybyśmy nawet wiedzieli, to jeszcze na nic nam się nie przyda, gra jest przegraną, ten człowiek bowiem nie cofnie się przed niczem.

— Gdyby już innej nie miało być rady, to jeszcze pozostaje nam broń straszna. Juliusz Cezar również chciał zmienić porządek rzeczy, obalił oponentów, a jednak w senacie znalazł się sztylet, który przeciął wszelkie jego zamiary—krzyknął Arena, którego twarz wyrażała wściekłość, posuniętą do szaleństwa.

Margrabina spojrzała w jego oczy i zrozumieli się dokładnie.

— Dobrze — mruknęła — w rzeczy samej ta droga nam jeszcze pozostaje, można jej spróbować, ale co do mnie, nie wierzę w powodzenie; wogóle straciłam wiarę i siłę wobec tego człowieka.

Słowa te brzmiały tak dziwnie w ustach Estelli, że nikt nie śmiał się odezwać, ona zaś skierowała się ku wyjściu.

Hektor w milczeniu długo patrzył za nią, jak gdyby chciał przeniknąć wszystkie zamiary tej kobiety i zbliżywszy się raz jeszcze, szepnął cicho:

— Czy pani żadnych więcej nie wyda nam rozkazów? Znasz mnie pani i wiesz, że wszystko gotów jestem uczynić dla ciebie.

Uściśnieniem ręki podziękowała mu za tę gotowość i rzekła poważnie:

— Ofiarę pańską przyjmę prawdopodobnie niezadługo, chociaż...—zastanowiła się przez chwilę i dokończyła — chociaż... zdaje mi się że sprawa nasza zgubiona zupełnie. Tu chodziło o śmierć lub życie!

— W każdym razie zaczekać musimy do jutra, udam się osobiście do Saint-Cloud i natychmiast poinformuję panią o rezultacie. Gdyby Bonaparte miał jutro zwyciężyć, to wtedy dopiero powiem, że jesteśmy zgubieni.

Pani de Contades wzdrygnęła się i zawołała głosem bezdźwięcznym:

— Nigdy jeszcze nie byłam tak zmęczoną, odprowadź mnie pan do domu...

Po drodze nie zamienili z sobą ani jednego wyrazu i dopiero, gdy stanęli przed jej mieszkaniem, odezwał się Hektor przy pożegnaniu:

— Przyrzeknij mi pani, że wszystko, cokolwiek chciałabyś uczynić, odroczysz do jutra.

Zmarszczyła brwi, ale przyrzekła skinieniem głowy, Hektor zaś ujął jej rękę, pocałował z wielkim szacunkiem i spokojny, jak gdyby nic nie zaszło, wolno skierował się na miasto.

— Ten jeden człowiek tylko mnie nie opuści— mówiła do siebie pani de Contades, krocząc po schodach swojego pałacu.

Kilkakrotnie dzwonić musiała Estella, zanim nareszcie otwarto jej pokoje, przeważna bowiem część służby wybiegła na miasto, ci zaś, którzy pozostali w domu, w wielkim niepokoju radzili coś pomiędzy

soba. Nikt nie ukazał się ani w salonie, ani w kurytarzach, dziwna też, nieprzyjemna pustka opanowała właścicielkę pięknego i do niedawna gwarnego mieszkania. Tu i owdzie paliła się świeca jakaś, której nikt nie uważał za stosowne zagasić i wogóle nie zadano sobie trudu z uporządkowaniem salonów, czyniło też tu wszystko wrażenie czegoś zburzonego lub zagrożonego.

Służba margrabiny wiedziała dobrze, co czekać będzie ich panią, gdy Bonaparte stanie na czele Rzeczypospolitej, popłoch więc zapanował w pałacu ogólny. Pomimo to Estella, zimna jak marmur, przeszła do sypialni i najspokojniej w świecie wydała rozkazy, ażeby zapalono światło. Dopiero gdy została samą zupełnie, w ciszy buduaru swojego zrzuciła z siebie maskę. Dotąd niesłychaną siłą woli stawiała czoło klęsce, ale teraz, gdy nikt na nią nie patrzył, z rozpaczą rzuciła się na fotel i krzyknęła:

— Stracone, wszystko stracone! Nadszedł mój koniec!

Wszystkie plany, wysnuwane tak przebiegle, wszystkie rojenia w pył się rozwiały, cała jej potęga, stanowisko w społeczeństwie, runęło odrazu, a co w przyszłości ją czeka, nie wiedziała jeszcze.

Wzdrygnęła się piękna i dumna Estella, przed oczyma jej stanęła gilotyna.

Jeżeli Bonaparte jutro przeprowadzi zamiary swoje w Saint-Cloud, to natychmiast przyjadą, opieczętują jej pałac, sprzedadzą meble i wszystkie własności ziemskie, jedno z licznych więzień paryzkich otworzy się dla niej, a tłum złorzeczyć jej będzie jako zdrajczyni kraju.

Zerwała się z fotelu i biegać zaczęła po pokoju, chcąc zagłuszyć niepokój wewnętrzny.

— Wszyscy mnie opuścili! Wszyscy są tylko pochlebcami i oszustami! To lokajskie dusze, teraz starać się będą o względy nowego władcy! Ha, ha! Na nic wam się nie zdadzą przymilania się Bonapartemu, on was podepce, was, którzy nawet dzisiaj umrzeć nie umiecie z godnością!

Śmiech jej sztuczny odbijał się o puste pokoje i przystanęła nagle, przypomniawszy sobie scenę dzisiejszą z Descampsem. Gniewne słowa, jakie jej rzucił rano, dotknęły ją najboleśniej. Nawet nad tym człowiekiem, który ją przecież kochał do szaleństwa, straciła teraz władzę zupełnie.

Pani de Contades zbyt jasno patrzyła na świat, ażeby nie zdawała sobie sprawy, iż dzieją się we Francyi rzeczy o których nie marzyło się przedtem nikomu.

Tam, w tych obozowiskach, inne wyrosło pokolenie ludzi, bardziej męzkie, silniejsze wolą, aniżeli to, jakie hodowało dotąd życie salonów wykwintnych.

Zrozumiała Estella, że skończyło się panowanie kobiet, ci młodzi bowiem inne mieli pragnienia i innemi owiani byli uczuciami.

I któż tych ludzi przerobił tak nagle? Bonaparte, zawsze on, ten nienawisty Bonaparte. On wskazał młodzieży nowe, wyższe cele, do których dążyć należy; rojalistom i salonowcom berło wypadło z ręki.

Pani de Contades widziała przed sobą upadek zupełny i po raz pierwszy poczuła się bezsilną, a ża-

dna godzina w życiu nie była dla niej tak straszną, jak ta, którą przeżyła teraz, nigdy duma jej nie doznała takiego upokorzenia. Pomimo to czepiała się jeszcze ostatniego promyka nadziei i znów wyprostowała się dumnie.

— Jeszcze sprawa nie skończona, jutro ja znów mogę tryumfować, Bonaparte zaś, podeptany, legnąć może na ziemię.

Nowy ten wybuch nadziei osłabiła w tej chwili myśl:

— A jeżeli i jutro jeszcze zwycięży Bonaparte? Co wtedy czynić, jak postąpić?...

Zastanowiła się na chwilę i wybiegła z budu-aru do pracowni swojej. Spojrzała w lustro i przeraziła się sama siebie: włosy rozwiane, całe ubranie w nieładzie, a twarz trupio blada, tylko oczy duże, szeroko otwarte, patrzyły błędnie przed siebie.

Z szuflady biurka wyjęła pośpiesznie skrzynkę żelazną, otworzyła ją i schwyciła za kilka pastylek błyszczących.

— Gdyby skończyć się miało wszystko... to... jeszcze pozostaje mi trucizna...—rzekła ponuro—środek niezawodny, od tej trucizny zginął markiz de Condorcet.

Znów upadła na krzesło i myśli kłębić się zaczęły w jej głowie.

Już dwie kobiety z jej rodziny położyły głowy swoje pod nóż gilotyny, czyżby ona miała być trzecią?!

— Nie doczekasz się tego, korsykaninie! — krzyknęła, zaciskając zęby—zanim nadejdą tu siepacze twoi, zanim schwycą mnie w swoje ręce, zdąże

przecież zażyć tę pastylkę. Ale nie! nie! Czekajmy spokojnie, jutro wszystko musi się wyjaśnić!...

Długo w noc przebiegała wszystkie pokoje, zatrzymywała się, gestykulowała, rozmawiała z sobą i niepokój wzrastał ustawicznie. Nareszcie, już po północy, położyła się i zasnęła twardo, ale sny straszne przypominały jej widocznie smutną rzeczywistość, bo wzdrygała się często i jęczała przez sen rozpaczliwie.

Tak sypia skazaniec, którego nad ranem prowadzić mają na miejsce kaźni...

ROZDZIAŁ XIX.

W oranżeryi pałacu Saint-Cloud.

Niezwykle wcześnie dnia 19-go Brumaire'a; wyszedł Hektor z mieszkania swojego i już przedtem zdążył uporządkować wszystkie papiery, a wychodząc z domu, rzekł do siebie wesoło:

— Zobaczmy teraz, jak też Paryż poczciwy przyjął rewolucyę wczorajszą, w każdym razie interesujący to wypadek!

Niktby się po tym młodym i dumnym arystokracie nie domyślał, co się działo w jego duszy.

Miasto naprawdę ciekawy przedstawiało widok. było coś nerwowego w twarzach i ruchach wszystkich przechodniów, wieści o wczorajszych wypadkach dotarły aż do najodleglejszych zakątków, a wszyscy powtarzali:

— Bonaparte przywłaszczył sobie władzę, Dyrektoryum rozwiązane!

Wszyscy też zapytywali się wzajemnie, jak wobec tego postąpi Rada Starych i Rada Pięciuset, rozegrać się to miało dopiero dziś w Saint-Cloud.

Nikt nie wiedział, czy cios, jaki wymierzył generał, był dość silny i czy Bonaparte utorował sobie drogę na Kapitol, czy na Gemonie [1]).

Ulice, wiodące do Saint-Cloud, zalegały tłumy niezliczone, które gromadziły się również po brzegach Sekwany i na moście wielkim, a każdy niecierpliwie czekał.

Hektor wcisnął się w tłum i razem z nim dotarł około godziny 12-tej do zamku. Grandmaison przyrzekł, iż ze wszystkimi sprzysiężonymi deputowanymi stawi się na posiedzeniu, rzeczywiście też ujrzał go Laringuet i z wielkim trudem przecisnął się ku niemu. Grandmaison serdecznie uścisnął rękę Hektora i zawołał wesoło:

— Bądźcie wszyscy jak najlepszej myśli! Poprostu zakrzyczymy Bonapartego, jak to zrobiliśmy już z Robespierre'm! Powtórzy się zupełnie 9 ty Thermidora.

Pomimo takiego zapewnienia, Hektor uśmiechnął się ironicznie i pomyślał w tej chwili, że przecież ten Robespierre nie był generałem i nie miał wojska za sobą, Grandmaison zaś mówił ożywiony:

— Do tej pory nie spotkałem nikogo, ktoby nie potępiał pogwałcenia praw ze strony Bonapartego.

Inny zaś deputowany, stojący obok, dodał:

— Robespierre w każdym razie nie był tak;

---

[1]) *Gemoniae scalae,* miejsce w Rzymie, gdzie śmiercią karano zbrodniarzy.

(Przyp. tłum).

bezczelny, nie śmiał w podobny sposób drwić sobie z konstytucyi!

— Widziałem wojska, maszerujące do Saint-Cloud—zauważył Hektor—wojska te rozłożyły się we wsi i stoją w parku.

— Niechaj spróbuje, niechaj się odważy wprowadzić wojsko pomiędzy przedstawicieli ludu!

— Czy panowie zbierają się w oranżeryi?—zapytał Hektor.

Objaśniono go, że Rada Pięciuset obradować będzie w oranżeryi, Rada Starszych zaś zbierze się w galeryi Apollina, jak również objaśniono, że na Radę Starszych wcale liczyć nie można, w łonie bowiem jej zbyt wielu jest zwolenników Bonapartego, decyzya jednak zawisła wyłącznie od Rady Pięciuset.

Dano znak, że posiedzenie ma się rozpocząć, Hektor zaś szepnął do ucha Grandmaisona i Areny:

— Pamiętajcie panowie, co przyrzekliście pani de Contades!

Arena skinął głową i zrobił ruch ręką tak wymowny, że Hektor zrozumiał, co on oznacza.

— Chodź pan z nami—zawołał Grandmaison—zawsze ciekawe to będzie widowisko patrzeć na upadek tyrana. Jest nas piętnastu, a każdy z nas ma sztylet z sobą, ażeby załatwić rachunki na wypadek, gdyby Bonaparte ośmielił się wejść do sali na czele żołnierzy.

— My pójdziemy do oranżeryi, pan wejdź na galeryę.

Oranżerya, położona tuż obok pałacu, tworzyła

dużą podłużną salę, umyślnie przerobioną na posiedzenia plenarne, pomimo to jednak przez dwie godziny pracowano nad tem, ażeby wszystko doprowadzić do porządku i dopiero około 2-ej cisnąć się zaczęto, ażeby zyskać jakieśkolwiek miejsce dogodne.

Te zbyt długie przygotowania naprowadzały wszystkich na myśl, że nowa tu wchodzi w grę intryga Bonapartego, za trzy godziny bowiem mrok już miał zapadać.

Kiedy prezydent zasiadł na miejscu swojem, ogólna zapanowała cisza, cisza, jaka zwykła zwiastować burzę.

Pierwszy zagaił posiedzenie paryżanin, Gaudin.

— Obywatele — zawołał Gaudin donośnie — wczoraj dokonano zamachu na bezpieczeństwo państwa, żądam przeto, ażeby wybraną została komisya, złożona z siedmiu członków Rady i ażeby komisya ta rozpatrzyła, czy generał Bonaparte ma być oskarżony o zdradę stanu!

Jak huragan zerwały się oklaski ze wszystkich ław, Lucyan Bonaparte zaś, przewodniczący zebraniu, wstał i starał się uniewinnić brata. Mówił o zasługach, jakie brat jego, Napoleon, położył około dobra rzeczypospolitej, i o oszczerstwach, które rzucają przeciwko generałowi, ale w tej chwili porwał się Grandmaison i wymierzył drugi cios silny:

— Tu nie może być mowy o jakichś oszczerstwach niedowiedzionych, tu chodzi o znieważenie konstytucyi i dlatego zanim przystąpimy do dalszych narad, żądam od wszystkich obecnych przysięgi,

że konstytucya z roku III-go nie będzie naruszoną.

Wniosek ten został ogólnie przyjęty i wszyscy powstali z miejsc, ażeby wykonać przysięgę.

Kiedy kolej nadeszła na Lucyana Bonapartego, on zawahał się przez chwilę, ale wreszcie powtórzył rotę przysięgi za innymi.

— A teraz—zawołał dalej Grandmaison—żądamy usprawiedliwienia się z postępowania wczorajszego! Salę obrad ciała prawodawczego otoczono wczoraj żołnierzami, co tylko zasługuje na nazwę zdrady stanu. Sam na własne oczy widziałem w Tuilleryach i w pałacu Luksemburskim żołnierzy pod bronią, na ich czele zaś stał ten dyktator, który wymógł na Radzie Starszych dekret do przeprowadzenia swoich zamiarów zbrodniczych.

Po tych słowach zerwała się burza, zewsząd wołano:

— To niesłychane!

— Bagnety w naszej izbie!

— Zdradzają lud!

— Depcą nogami konstytucyę!

— Prawo za nami!

— Oddać go pod sąd wojenny!

Wszystkie te okrzyki sprawiły, iż zwykle spokojny Lucyan porwał się z miejsca rozgorączkowany i krzyknął głosem potężnym:

— Obywatele! Przysięgam wam, że sam gotów jestem oddać brata mojego do waszego rozporządzenia, gdyby się miał odważyć na naszą godzić wolność. To, co się stało wczoraj, miało na celu jedynie zabezpieczenię rzeczypospolitej przed knowa-

niami jej wrogów wewnętrznych, stało się to z wiedzą i wolą Dyrektoryatu, który sam czuje, że nie dorasta zadaniu.

— Kłamstwo!

— Nie chcemy dyktatora!

— Dyrektorowie nas zdradzili!

— Komisyi chcemy!

Lucyan Bonaparte, któremu już cugle z rąk wymykać się zdawały, spojrzał przelotnie na zegar, wiszący w sali, wiedział bowiem, o ktorej godzinie zjawić się ma tu brat jego.

Przed kwadransem doręczono mu list Barrasa, w którym tenże podaje się do dymisyi.

Lucyanowi zależało teraz tylko na tem, ażeby rozprawy przewlec możliwie najdłużej, kazał przeto list odczytać. Barras napisał podanie swoje krótko, bez siły odpowiedniej, powiedział tylko w liście swoim, że zmęczony jest pracą i że urząd swój składa w ręce generała Bonapartego, którego uważa za jedynie zdolnego do rządzenia Francyą w tych czasach ciężkich.

Umysły tak były zagrzane, że słowa Barrasa nie uczyniły wielkiego wrażenia.

— Ten list wymuszono przemocą!—wołano.

— Barras nie ma prawa podawać się do dymisyi!

— Niechaj tu przyjdzie, niech się sam wytłómaczy!

Lucyan Bonaparte wstał i znów rzekł donośnie.

— Nietylko Barras, ale całe Dyrektoryum podało się do dymisyi, nie przyjdzie też tu Barras tłó-

maczyć się, wyjechał bowiem na wieś do dóbr swoich. Roger-Ducos i Sieyès solidaryzują się z Barrasem, w tej chwili zatem nie mamy rządu we Francyi. Jest to perfidya ze strony tych panów, którzy teraz powołując się na Dyrektoryum, pragną tym sposobem zakryć swoje konszachty z wrogami.

Wściekłość zapanowała w całem zgromadzeniu, Grandmaison zaś krzyknął:

— Takim frazesem, jak ten, że niema rządu we Francyi, chcą nam obecnie zamknąć usta, ażeby Rzeczpospolitą, jak owoc dojrzały, oddać tyranowi! Obywatele! żądam natychmiastowego wytoczenia sprawy nietylko przeciwko generałowi Bonapartemu, ale i przeciwko tym, którzy mu do jego zbrodniczych zamysłów dopomagają.

To mówiąc wskazał ręką na stół prezydyalny. Burza stawała się groźną, wielu deputowanych przeskakiwało przez ławy, ażeby jak najprędzej podpisać dekret, a kurz, tym sposobem powstały, wzbijał się aż pod sufit, co więcej jeszcze zaciemniało salę.

Zmrok powoli zaczynał już zapadać, musiano przeto przystąpić do zapalenia lichtarzy.

Hektor uważnie patrzył na Lucyana Bonapartego i widział, że przewodniczący bardzo był blady. Grandmaison tryumfował i porozumiewająco spoglądał na galeryę, gdzie siedział młody Laringuet.

— Podpiszmy dekret!—wołały setki głosów.

W tej samej chwili drzwi, wiodące do sali, otworzyły się z trzaskiem i na progu stanęła kompania grenadyerów w mundurach niebieskich z czerwonemi wyłogami i w trójgraniastych kapeluszach

na głowie. Kompania ta nastawiła bagnety, jak gdyby do ataku.

Wśród tych wzburzonych tłumów dojrzano na czele nizką postać generała Bonapartego, a wtedy odrazu z wszystkich piersi wydobył się okrzyk, zawierający w sobie straszną nienawiść do tego człowieka.

— Precz z dyktatorem! Ściąć tego tyrana!

Bonaparte skinieniem ręki powstrzymał żołnierzy i sam jeden, zimny i spokojny wkroczył na salę. Ubrany był w mundur zwykły i tylko szarfę przewiesił przez ramię; zdjął kapelusz trójgraniasty z głowy i trzymał go w ręku. Mały generał bardziej jeszcze teraz wyglądał chudo i mizernie niż zazwyczaj, kości wystawały mu na policzkach, ale oczy błyszczały jak dwa węgle; miał w sobie drapieżność zwierzęcia, które rzucić się pragnie na ofiarę swoją.

Nigdy może jeszcze rewolucya nie odbywała się w sposób tak niezwykły, Bonaparte miał przed sobą rozjuszone, krwią nabiegłe twarze deputowanych, widział ręce wyciągnięte nad sobą groźnie, a nawet głosy, wydobywające się z piersi tych ludzi, nie były głosami zwyczajnemi. Jak wulkan, długo czekający wybuchu, tak teraz ten potwór ludzki rzucał się na niego.

Napoleon ogarnął wszystkich spojrzeniem, a kiedy kroczył wolno przez salę, zewsząd dolatywały okrzyki:

— Bandyta!

— Zdrajca Korsykanin!

— Czy ty myślisz rządzić nami, jak basza egipski?

— Łotr włoski, chce ograbić razem z braćmi swoimi rzeczpospolitą!

Napoleon Bonaparte spostrzegł, że w tem całem zgromadzeniu niema ani jednego człowieka, któryby w tej chwili był przy zdrowych zmysłach, zbliżywszy się przeto do trybuny mówców, oparł się o nią i spojrzał wzrokiem tak strasznym, że wszystkich przykuł do miejsca.

Głosem, który grzmiał teraz jak piorun, rozpoczął:

— Obywatele! przyszedłem tu umyślnie, ażeby zdać rachunek z postępowania mojego przed wami. Niebezpieczeństwo, w jakiem znajduje się państwo nasze sprawiło, że stanąłem na czele rządu.

— Przedewszystkiem konstytucya! — krzyknięto ze wszystkich stron.

Bonaparte założył ręce na piersi.

— Któż z panów ośmiela się tu mówić o konstytucyi? Ileż to konstytucyi pogwałciliście w ciągu lat czterech? Przypomnijcie sobie 12-ty Vendemiaira, 18-ty Fructidora, 6-ty Prairiala. W jaki sposób usprawiedliwicie przed narodem zaufanie, jakiem on was obdarzył, co uczyniliście ze spadkiem po Wielkiej Rewolucyi?! Kiedy opuszczałem Francyę, była ona wielką, potężną i szanowaną wszędzie, a co wy zrobiliście przez ten czas, kiedy my krew swoją przelewaliśmy za ojczyznę?

Wszystko to mówił szybko, akcent zaś włoski sprawiał, że nie każdy mógł rozumieć wszystkie wyrazy, zamiast przeto uspokojenia, jeszcze więcej pobudziły

się namiętności, jeszcze większy powstał hałas i nie pozwolono mówić mu dalej. Arena wyciągnął sztylet i krzyknął:

— Tyranie! Dosięgniemy cię wszędzie!

Sztylet błysnął i Arena poskoczył ku generałowi, równocześnie dziesięciu deputowanych wydobyło także swoje sztylety.

Lucyan krzyknął przerażony i chciał zasłonić piersią swoją brata, ale pomoc ta była zbyteczną, oficer bowiem, stojący przy drzwiach, dostrzegł niebezpieczeństwo i na czele żołnierzy śpiesznie wkroczył do sali.

Żołnierze gotowi byli na wszystko, zasłonili i odciągnęli generała, który blady śmiertelnie, spojrzał teraz na brata.

Lucyan zerwał płaszcz czerwony z ramion, rzucił biret na stół i krzyknął:

— Obrady dzisiejsze uważam za niebyłe i opuszczam zgromadzenie, które nie umie nawet uszanować wolności osobistej.

— Zamordować tyranów!—wołał Grandmaison wściekły.

Grenadyerzy stanęli gotowi do ataku.

Napoleon w towarzystwie brata, wśród eskorty, wyszedł z sali, ale Grandmaison, pomimo zamknięcia posiedzenia wszedł na mównicę i mówił:

— Obywatele! zbrodnia jest już dowiedzioną! Spiszmy zatem dekret i rozpowszechnijmy go po całem mieście, ażeby Paryż poruszyć do powstania! Na mocy tego dekretu generał Bonaparte i wszyscy jego bracia wyjęci będą z pod prawa.

Przeciągłe i huczne oklaski rozległy się po sali,

gdy Grandmaison przestał mówić, Hektor zaś mruknął do siebie:

— Jeżeli Bonaparte nie wynajdzie teraz jakiego środka ratunku dla siebie, to Estella spać może spokojnie. Teraz, albo nigdy!

Laringuet opuścił trybunę pod dobrem bardzo wrażeniem, widział bowiem, że zamach zupełnie się nie powiódł Bonapartemu; serdecznie uścisnął rękę Grandmaisonowi, który tryumfował z rozjaśnionem obliczem.

— Tyran przeliczył swoje siły — wołał Grandmaison — i teraz sam zaplątał się we własne sieci. Dziś jeszcze nazwisko jego, jako człowieka wyjętego z pod prawa, przylepimy na wszystkich rogach ulic.

Chciał jeszcze coś mówić, gdy nagle uszu ich doleciały odgłosy bębnów.

— Nie tryumfujcie!—krzyknął Hektor—coś złego znów się stać musiało!

Ten i ów wybiegł przed oranżeryę i tu dopiero zobaczono, że Leclerc, szwagier Bonapartego, przyprowadził dwie kompanie grenadyerów. Żołnierze wpadli we wściekłość, gdy zoboczyli uwielbianego generała swojego w stanie wzburzenia po świeżo przebytej scenie z deputowanymi. Skorzystał z tego Lucyan, wsiadł na pierwszego z brzegu konia, nakazał żołnierzom milczenie i przemówił do nich w słowach prostych, objaśniając, że zdrajcy deputowani nietylko chcieli sprzedać kraj Anglii, ale jeszcze postanowili zamordować generała.

— Jako prezydent Rady Pięciuset, nakazuję wam rozpędzić wszystkich z tej izby — dokończył

głosem donośnym, a w tejże samej chwili Napoleon wyciągnął pałasz z pochwy i krzyknął:

— *En avant!*

Ten jeden wyraz zdecydował o wszystkiem, zawarł się w nim upadek Dyrektoryatu, konstytucyi i nawet rzeczypospolitej...

Kolumna wojska we wzorowym porządku wkroczyła na salę przy odgłosie bębnów, ze wszystkich zaś piersi żołnierzy wydobył się okrzyk: „Niech żyje Bonaparte!“

— Ratujcie się!—zawołał Hektor—tu już niema co więcej robić, wszystko stracone.

Grandmaison, jak błędny, patrzył przed siebie, gdy oficer, dowodzący grenadyerami, wyciągnął pałasz i zawołał:

— Obywatele, wzywam was, ażebyście się rozeszli natychmiast!

— To zdrada!—krzyknęło kilkaset głosów.

— Tyran ten jest gorszy, aniżeli nim był Capet!

— Nie ustąpimy! — wołali najwięcej egzaltowani.

— Umrzemy za wolność!

Oficer zakomenderował, grenadyerzy rozwinęli się frontem przez całą długość sali i nastawili bagnety. O stawieniu oporu nie mogło być nawet mowy, wszyscy uciekali w nieładzie, pomimo, że Grandmaison do końca krzyczał i protestował. Jedni wyskakiwali przez okna, drudzy zbiegali po schodach, przeważna jednaże część musiała być wypchniętą

przez grenadyerów; na ziemi poniewierały się płaszcze czerwone i birety deputowanych.

— Teraz już po nas — mruknął Hektor—skończyły się dni nasze i nadszedł koniec rzeczypospolitej!

Na dole w sieni spotkał Grandmaisona i Arenę, którzy wściekli z gniewu, napróżno starali się powstrzymać ten popłoch przedstawicieli narodu.

— Próżne wasze zabiegi przeciwko żołnierzom — rzekł Hektor—gotowi są na wszystko, walczyć niepodobna.

Usłuchali rady i wszyscy trzej razem opuścili Saint Cloud, wszyscy zaś byli bezradni wobec tego, co się stało i nie wiedzieli, jak dalej postąpić. Ostatnie zgromadzenie, ostatnie ciało zbiorowe, które mogło jeszcze stawić opór dyktatorowi, zostało zupełnie rozbite.

Bonaparte, blady i ponury, ujrzawszy tę ucieczkę bezładną deputowanych, przywołał do siebie ordynansa i wręczył mu kawałek papieru; był to rozkaz do Fouché'go.

Na moście tłum zebrał się tak wielki, że Hektor nie mógł iść razem z towarzyszami, musiał się rozłączyć i tylko zdążył kilka słów zamienić z nimi.

— Schronię się u Tailleyranda — rzekł Grandmaison—ten mnie na jakiś czas ukryje.

— Ja zaś ucieknę do Normandyi—rzekł Arena.

— Zapominasz pan—wtrącił Hektor — że rogatki wszystkie są zamknięte.

— W takim razie schowam się na wyspie Łabędziej, poczekam tam tydzień, a może po ośmiu dniach powietrze oczyści się trochę w Paryżu.

— Trzeba przecież ratować także panią de Contades—zawołał Hektor.

Grandmaison wzruszył tylko ramionami:

— Nie widzę dla niej innego ratunku, jak tylko przebłaganie generałowej Bonaparte i udanie się pod jej skrzydło opiekuńcze.

Laringuet zaśmiał się złośliwie:

— Rada pańska godną jest plebejusza!

Nie słyszał już tego ani Grandmaison, ani Arena, którzy uciekali pośpiesznie, podczas gdy Hektor zwrócił się ku pałacowi pani de Contades.

ROZDZIAŁ XX.

Kobieta kochana — i kobieta kochająca.

Aż do południa margrabina leżała pogrążona w śnie, z którego nie chciałaby się zbudzić, ażeby też jej nie przeszkadzano, przykazała służbie nie wpuszczać nikogo, z wyjątkiem jednego tylko pana de Laringuet.

Na przybycie Hektora czekała niecierpliwie, resztkami nadziei czepiając się jego postaci. Godziny wlokły się strasznie wolno, każda z nich długą była dla niej, jak wieczność.

Nagle ku zdumieniu swojemu Estella posłyszała kroki szybkie po schodach, jakąś ostrą wymianę zdań ze służbą, potem drzwi się otworzyły i na progu ukazał się nie Hektor, ale dziewczę młode blade i przestraszone.

Na ten widok zdumiała się pani de Contades, ale zdumienie to przemieniło się w gniew, gdy w przybyłej poznała Alicyę Grosrenard.

— Zkąd ta śmiałość, ażeby mnie tu nachodzić! Czego to szukasz w domu moim?

— Czego szukam?—powtórzyła Alicya—szukam Hektora!

Panna Grosrenard niepodobną była do dawnego dziewczęcia, wychudła przez ten czas niezmiernie, zniknęły kolory z twarzy, a usta drgały jej gdy mówiła. Przybliżyła się do pani de Contades i rzekła błagalnie:

— Boże mój! Do kogóż miałam się udać, jeżeli nie do pani, ażeby go znaleźć! W mieście dzieją się rzeczy okropne, mówią o sprzysiężeniu i licznych aresztowaniach, wiem napewno, że Hektor wmieszany jest w tę sprawę, powiedz mi zatem pani, czy nie wzięto go jeszcze do tej pory?

Mówiła to wszystko szybko, nerwowo, w głocie czuć było łzy, ale pani de Contades odparła zimno:

— Nie wiem, był w Saint-Cloud, może już aresztowany.

Alicya wstrząsnęła się cała i nie zmieniając tonu błagalnego, wołała:

— Przyszłam umyślnie do pani, ażeby go ratować, byłam nawet w domu jego, ale nie zastałam go nigdzie.

— Więc pani kochasz go naprawdę?

Tyle było pogardy w tem zapytaniu, że Alicya rozpłakała się rzewnie i padła na kolana.

— Nie nawidziłam cię pani, przeklinałam za to, że zabrałaś mi Hektora, a jednak patrz! ja leżę teraz u stóp twoich i proszę, ażebyś darowała życie Hektorowi! On w wielkiem jest niebezpieczeństwie i może zginąć przez ciebie. Wiem, że przecież nie

mogę porównywać się z tobą, pani, z tobą, którą podziwia Paryż cały, ale niczego więcej nie pragnę, jak tylko uratować mu życie.

Ta prośba rzewna poruszyła nawet taką kobietę bez serca, jaką była Estella, rzekła przeto już łagodniej:

— Mylisz się, moje dziecko, nie jestem już ani czczoną, ani potężną w Paryżu i znajduję się w takiem samem niebezpieczeństwie, co i Hektor; ja panu Laringuetowi nie przeszkadzam w niczem!

— Czyżbyś go pani nie miała kochać?

Uśmiech ironiczny przebiegł po ustach pani de Contades:

— Dziecko z ciebie jeszcze! Czemże dla mnie jest Hektor? Znajomy dobry, przyjaciel wypróbowany, na którym można polegać, nic więcej! Naturalnie, że w waszym świecie nieznany jest zupełnie tego rodzaju stosunek pomiędzy mężczyzną a kobietą.

Pani de Contades z politowaniem patrzyła na zdziwioną Alicyę i śmiejąc się, dodała:

— Nie teraz pora myśleć o miłości, dziś świat innemi, ważniejszemi sprawami jest zajęty, rozgrywa się teraz wielki akt dziejowy i nie wiadomo, czy nie runie cała Rzeczpospolita. W tej chwili generał Bonaparte ciężki zdaje rachunek z grzechów swoich przed Radą Pięciuset.

Alicya przerwała szybko:

— Generał zwycięży napewno, cały kraj ma za sobą!

Estella zaśmiala się głośno:

— Radzę ci nie wyjawiać takich uwag! Może dziś jeszcze wieczorem dowiesz się, że Bonaparte jest aresztowany i że czeka go nóż gilotyny.

Alicya spojrzała błagalnie ku niebu i zawołała:

— Pan Bóg nie dopuści, ażeby dojść miało do tego i ażeby znów rządzić tu w kraju zaczęły istoty, które wszystko gotowe podeptać nogami swojemi!

Pani de Contades wyprostowała się dumnie, ale i Alicya również czuła, że jej powraca odwaga.

— Co rozumiesz przez to, panno Grosrenard?— zapytała Estella z gniewem.

— Czuję teraz, że generał bardzo dobrze czyni, gdy tego rodzaju osoby, jak panią, oddaje pod sąd. Kraj cały nienawidzi pani!

— Milcz!—krzyknęła pani de Contades i chciała mówić coś więcej, ale zamilkła, na schodach bowiem posłyszała szybkie kroki męzkie.

— Ktoś nadchodzi — mruknęła — prawdopodobnie jest to Hektor, on powie nam, co się stało w Saint-Cloud.

Dwie kobiety spojrzały sobie prosto w oczy i z zapartym oddechem czekały na przybycie Hektora.

Zakurzony, zmęczony, w ubraniu pogniecionem stanął Hektor we drzwiach i zdumiał się na widok Alicyi, zdumienie to jednakże trwało krótko, spojrzał na pannę Grosrenard pogardliwie przez ramię i składając nizki ukłon przed Estellą, rzekł:

— Pani! Rzeczpospolita umarła! Dla nas nie pozostało nic więcej, jak tylko uciekać z Francyi,

albo też rzucić się pod nogi Cezara i całować kraj jego szaty.

Szybko opowiedział cały przebieg zajścia w Saint-Cloud, pani de Contades zaś słuchała uważnie, ale nie okazała najmniejszego wzruszenia, natomiast Alicya odetchnęła swobodnie i wzrokiem wyrażała wielkie ukontentowanie.

— Powiadasz zatem, że deputowani uciekli w popłochu?...

— Kazał ich przecież rozpędzić wojsku!

— Gdzież się podział sztylet Areny?

— Chybił celu, grenadyerzy zasłonili Bonapartego od tego ciosu.

— A konstytucya?...

— Nie istnieje więcej. Teraz ma być opracowana nowa konstytucya, a Bonaparte, jako konsul, stanie się panem Francyi.

— Naturalnie, że wtedy pierwszym jego czynem będzie uderzyć na nas.

— Boję się, że on gotów dziś jeszcze to uczynić—rzekł Hektor i wskazując ręką na Alicyę dodał.— jak widzę, przysłał już tutaj nawet do nas swoją forpocztę.

— Hektorze! — krzyknęła Alicya, drżąc na całem ciele—rzucasz mi w twarz obelgi, a nawet pojęcia nie masz, co ja cierpię w tej chwili.

Hektor zapytał z sarkazmem:

— Jakto? więc przyszłabyś dzisiaj nie dlatego, ażeby nas szpiegować?

Panna Grosrenard zebrała całą siłę woli i zawołała z mocą:

— Hektorze! Na wszystko, co kiedykolwiek miałam świętego, na miłość naszą się zapewniam, że niewinną byłam wtedy, gdy ten list nieszczęsny dostał się w ręce generała.

Ton, z jakim mówiła, zastanowił Laringueta, pomimo to chmurnie spoglądał na Alicyę.

— Nie mamy czasu teraz bawić się w długie pogawędki — mruknął.

Alicya nie ustąpiła jednak i opowiedziała o swojem spotkaniu się z Gastonem Descamps, o tem, jak Gaston bez jej zezwolenia list ten zatrzymał przy sobie i oddał Bonapartemu, a tyle szczerości było w jej wyznaniu, że gniew Hektora ustępował zwolna.

— Jeżeli tak jest, to gotów jestem ci przebaczyć.

— Przecież i dzisiaj przyszłam tylko dlatego, ażeby ratować ciebie.

Hektor zaśmiał się pobłażliwie:

— Dziecko naiwne, nas nic już nie może uratować, rachunków, jakie są do załatwienia pomiędzy nami a generałem Bonaparte, nie zdołasz pokwitować. Zresztą zapóźno już dzisiaj powracać do dawnych pomiędzy nami stosunków, serce moje i honor w ręce innej złożyłem kobiety!

Skłonił się przed panią de Contades, Alicyi zaś pociemniało w oczach. Estella wyciągnęła rękę do Hektora:

— Dziękuję ci, Hektorze! Ty jeden pozostałeś mi wiernym do ostatka, ale nie będę już długo nadużywać wierności twojej.

Pomimo, że pani de Contades uśmiechała się

lekko, gdy wymawiała te wyrazy, to jednak Hektor zbladł nagle i drżąc silnie, zapytał:

— Czyżby już żadnego nie było ratunku?

— Niestety! żadnego.

— Bonaparte ma dowody przeciwko nam w swem ręku i z pewnością nie zawaha się ani chwili, ażeby nas zgubić.

— Pozostaje jeszcze ucieczka — zawołał Hektor z ogniem niezwykłym.—W przeciągu dwudziestu godzin będziemy w Normandyi, a za dwa dni znaleźć się możemy w Anglii.

— To rzecz niemożliwa, wszystkie rogatki zamknięte—rzekła Estella.

— Zapomniałem o tem, że trzeba mieć kartkę na przejazd, podpisaną przez Bonapartego—dodał Hektor, smutnie zwieszając głowę.

— Mam taką kartkę—zawołała nagle Alicya.

Spojrzeli na nią zdumieni.

— Tę kartkę dała mi sama pani generałowa Bonaparte. Powiedziałam jej, że mamy zamiar z ojcem wyjechać do Meudon, dała mi więc ją natychmiast i właśnie przyszłam tu jedynie po to, ażeby w ten sposób ratować ciebie, Wiedziałem, że znajdujesz się w niebezpieczeństwie. Bierz tę kartkę, możesz teraz uciekać, a powrócisz, gdy już się tu wszystko uspokoi. Bierz ją, ani chwili nie ma do stracenia.

Podała biały papier Hektorowi, który wziął go z ręki Alicyi, nie podziękowawszy nawet; przyjrzał się tylko uważnie, a zobaczywszy podpis Fouché'go, przekonał się, że paszport najzupełniej jest legalny.

Nie namyślając się ani chwili, podał go z ukłonem Estelli.

— Ty, pani, przedewszystkiem powinnaś się ratować, a przy pomocy tego paszportu spokojnie możesz wyjechać z miasta; w Normandyi znajdziesz przyjaciół, którzy dopomogą ci do ucieczki do Anglii.

Alicya krzyknęła przeraźliwie i wyciągnęła rękę, jak gdyby wydrzeć chciała tę kartkę z rąk kobiety znienawidzonej.

— Przyniosłam to tylko dla ciebie, Hektorze!

Zemdlona padła na krzeszło, ale nikt nie troszczył się o nią. Oczy pani de Contades wyrażały radość, że los dał jej w rękę sposobność uratowania życia.

— Dziękuję ci, Hektorze! Jeżeli tylko ucieczka jest jeszcze możliwą, to nie wolno nam czasu tracić ani minuty.

— Zdążysz pani jeszcze, ale natychmiast trzeba się zająć przygotowaniami.

— Chodźmy zatem, nie zwlekając ani chwili!

Estella skinęła na Hektora i skierowała się ku drzwiom, wiodącym do drugiego pokoju, ale w tej chwili Alicya rzuciła się pomiędzy nich:

— Nie chodź z tą kobietą! — krzyknęła—ty do mnie należysz wyłącznie! Nie chcę, ażebyś miał zginąć!

Pełna rozpaczy schwyciła się oburącz za głowę i cisnąc sobie skronie, wołała:

— O Boże, mój Boże! Czyż nie ma żadnej siły, którąby ciebie potrafiła oderwać od tego demona?

Uczepiła się ramienia Hektora; on zaś odsunął ją lekko i rzekł poważnie:

— Nie opuszczam cię przecież zupełnie, Alicyo, powrócę do ciebie, ale teraz muszę ratować, choćby za cenę życia własnego panią de Contades.

— Nie, nie! ratuj siebie, ona niech ginie! — wołała rozpaczliwie.

Ale nikt jej już nie słuchał; Hektor z Estellą weszli do drugiego pokoju i zamknęli drzwi za sobą, Alicya zaś napróżno dobijała się i poruszała klamką.

Estella natychmiast zajęła się pakowaniem rozmaitych przedmiotów i dawała wskazówki młodemu Laringuetowi, jak ma postąpić.

— Rzecz naturalna, że najprzód dobijać się będą do mojego pokoju i tu poszukiwać zaczną listów; na szczęście papiery najważniejsze zdążyłam spalić, są jednakże listy, na których przechowaniu zależy mi bardzo, i te doręczam tobie. Niechaj ci plebejusze nie walają rękami swojemi listów, pochodzących od królów Francyi!

Podała Hektorowi zwój papierów i zapytała:

— Czy razem wyjedziemy z Paryża, czy też pojedziesz za mną w kilka godzin później?

— Najlepiej będzie, że wyruszę trochę później, zwróciłoby to bowiem zbyt wielką uwagę, gdybyśmy razem przedostawali się przez rogatki. Nikt nie domyśli się niczego, gdy pozostanę w pałacu.

— Masz racyę — rzekła po pewnem zastanowieniu — kto wie, czy jutro rogatki nie będą już otwarte i czy nie będziesz mógł wyjechać zupełnie

swobodnie, zostań przeto w tem mieszkaniu mniej więcej do godziny 9-ej.

— Przyrzekam ci to, pani.

— Drzwi wszystkie każ pozamykać, zabarykaduj główne wejście i wogóle postępuj tak, jak gdybym stawiać chciała opór żandarmom i wojsku. Tym sposobem zyskam na czasie.

— Czy pani pieszo zamyślasz przejść przez rogatki?

— Wynajmę dorożkę i wezmę strzelca swojego z sobą, to człowiek, na którym można polegać.

— Jeżeli konie będą dobre, to w przeciągu dwóch godzin już możesz być pani w Marly.

— Właśnie o to mi chodzi i dlatego chciałabym, ażeby nikt nie poznał, że wydaliłam się z domu. Jutro w południe powinnam się znaleźć w Beauvais, w nocy zaś będę już w Tréport, gdzie stanowczo znajdę okazyę do przedostania się do Anglii.

Hektor odzyskał humor dobry i gotów był nawet żartować, więc też rzekł z uśmiechem:

— Gdy się pani zobaczysz z hrabią Artois i z panem de Polignac, to niechże się pani zapyta, czy obecnie równie dobre mają wyżły, jak kiedyś w roku 87-ym.

Pani de Contades uśmiechnęła się przelotnie.

— Mam nadzieję, że niezadługo sam zadasz mu to pytanie.

Płaszcz zarzuciła na siebie i wybiegla pośpiesznie, Hektor podążył za nią.

Na schodach Estella nie spotkała nikogo, służba więc nie mogła się nawet domyślać ucieczki pani swojej. Raz jeszcze śpojrzała po za siebie i dreszcz

zimny przebiegł jej ciało, gdy pomyślała, że ta ucieczka może się zamienić na wygnanie wieczne. Bonaparte był teraz panem w Paryżu. Pomimo to jednak jakaś dziwna, nieokreślona nadzieja podtrzymywała jej siły, podając też rękę Hektorowi, rzekła:

— Zdaje mi się, że jeszcze zobaczę te mury i że walka z tym człowiekiem nie skończyła się zupełnie. Bądź zdrów, mój przyjacielu, tobie zawdzięczam wolność, a może nawet życie i mam nadzieję, że najdalej za 24 godziny zobaczymy się znów. Liczę na to, że zlecenia moje wypełnisz co do joty!

— Dałem przecież słowo szlacheckie, a słowa mojego nie łamię nigdy.

Z dziwnem uczuciem ucałował białą jej rękę i patrzył, dopóki powóz nie zniknął mu z oczu, poczem wolno, z opuszczoną głową, wszedł z powrotem do pałacu.

Natychmiast przywołał do siebie służbę i rozkazał, ażeby nie wpuszczano nikogo, chociażby nawet przemocą wedrzeć się chciano na schody.

— Pani margrabina jest cierpiąca—rzekł—i potrzebuje zupełnego spokoju.

Sam własnoręcznie pozamykał drzwi, zapuścił rygle i pozapalał świece, ustawiając je tak, ażeby światło biło na ulicę.

Teraz pozostało mu jeszcze tylko najtrudniejsze zadanie do spełnienia: rozmowa z Alicyą.

Cicho wszedł do pokoju, gdzie ona pozostała sama i obejmując ją w pół, rzekł serdecznie:

— Trzeba się nam pożegnać, dziecko drogie!

— Teraz dopiero przychodzisz? — odparła głosem bezdźwięcznym — nie dam się już więcej oszukać.

— Dziecko, nie pora teraz na obustronne wyrzuty, skrucha dziś byłaby spóźnioną, trzeba regulować zaległe rachunki.

Spojrzała na niego z przerażeniem, on zaś mówił z cynizmem:

— Tak, tak, trzeba płacić krwią! Niech żyje Bonaparte! Zmusza on przynajmniej człowieka do porządku. Najprzód tedy mam do zapłacenia dług, zaciągnięty u ojca twojego, potem trzeba będzie odpowiedzieć za ucieczkę z wojska i wreszcie za udział w sprzysiężeniu na rzecz króla. Niech żyje Bonaparte!

Alicya podniosła głowę.

— Ojca mojego nie obawiaj się, Hektorze!

— Przecież on groził, że każe mnie uwięzić...

— Ja nie dopuszczę do tego, choćby mi przyszło najenergiczniejszych chwycić się środków.

Hektor z czułością patrzył teraz na dziewczę, namiętnie przytulił Alicyę do siebie, ona zaś nie broniła się wcale i tylko głowę położyła na jego piersi.

— Nikomu nie zawdzięczam tyle, co tobie, Alicyo, a jednak musimy się rozejść. Nie przyniosłem ci szczęścia w życiu, sam go nie zaznałem nigdy. Powiadasz, że kocham tę kobietę .. Alboż ja wiem dokładnie! Przykuła mnie do siebie i idę w ślad za nią, choć widzę, że zginąć muszę. Nie nadaje się do waszego spokojnego i pracowitego trybu życia. Ty byłaś dla mnie promykiem słońca, dla mnie, który dotąd tylko błędne widywałem przed sobą ogniki.

Gdybyśmy się w innych urodzili czasach, kto wie, Alicyo, czy nie bylibyśmy szczęśliwi z sobą, ale przecież nie nam teraz słuchać bajek o pracy spokojnej i o zdrowiu! Droga, którą idziemy, jest ciemna, a ty stworzona jesteś do słonecznych szlaków i dlatego — zatrzymał się chwilę — i dlatego musimy się rozejść.

Każdy wyraz równał się dla niej uderzeniu sztyleta, wiedziała też, że traci Hektora na zawsze.

— Boże! daj mi moc do zniesienia tego ciosu!— rzekła grobowo.

Ale po chwili zerwała się nagle, schwyciła Hektora za rękę i wołała umierającym prawie głosem:

— Słuchaj mnie, Hektorze! Czyń ze mną, co ci się tylko podoba, oszukuj mnie, opuść na zawsze, zdradzaj, nie będę ci przeszkodą, ale wysłuchaj mnie raz przynajmniej w życiu: Uchodź z tego domu, uchodź natychmiast, nawet godziny, nawet minuty nie pozostawaj tu dłużej!

Hektor przystanął i spojrzał na nią uważnie:

— Dlaczego? — zapytał po chwili.

— Dlatego, że dziś jeszcze wszyscy macie być aresztowani. Słyszałam na własne uszy, gdy Fouché mówił o tem do generałowej Bonaparte. Oni myśleli, że mnie niema w pokoju, więc mówili bez obawy. Natychmiast po wypadkach w Saint Cloud wysłano posłańca do policyi z rozkazem otoczenia pałacu pani de Contades i zaaresztowania wszystkich, którzyby znajdowali się podówczas w jej domu. Wtedy, nie zwlekając ani chwili, wybiegłam na miasto

i zaczęłam szukać ciebie. Chodź, chodź ze mną, mogą przyjść natychmiast!

Hektor wyciągnął zegarek z kieszeni, a zobaczywszy, że już po siódmej, zastanowił się trochę, nie odrzekł jednak ani słowa. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, Estella powinna była do tej pory przejechać rogatki.

Zaczął chodzić po pokoju, wreszcie przystanął i rzekł zimno:

— Nie mogę!

— Dlaczego?

— Przyrzekłem pani de Contades, że nie opuszczę tego pałacu przed godziną 9-tą.

Alicya krzyknęła przeraźliwie:

— Hektorze, ty nie znasz Fouché'go! Jesteś zgubiony, to straszne, on cię odwiezie do Karmelitów [1]).

— Nie znam, ale wiem wszystko i — zostanę tutaj!

Alicya padła na kolana i czołgając się u nóg jego, mówiła błagalnie:

— To szaleństwo! Chodź ze mną, uratuję cię napewno! Jakże mogłeś przyrzekać coś podobnego!

— Dałem słowo szlacheckie i raczej umrę, aniżeli je złamię!

Zaklinała jeszcze, błagała, ale napróżno.

---

[1]) Więzienie paryzkie z czasów Wielkiej Rewolucyi. *(Przyp. tłóm.)*

Z ulicy dolatywał odgłos miarowych kroków, znak, że maszerują żołnierze.

— Boże! już idą! — krzyknęła Alicya i padła zemdlona.

Hektor podszedł do okna i dostrzegł oddział grenadyerów, na których czele szedł oficer i urzędnik policyi. Przed pałacem przystanęli i uformowali się prawidłowo.

Młody Laringuet cofnął się natychmiast i zaczął rozważać, co dalej czynić należy.

Jeżeli zdoła bronić się jeszcze przynajmniej przez pół godziny, to wtedy pani de Contades dojedzie już do łasu St. Germain i mniej więcej będzie bezpieczną.

— Pójdę i zobaczę, czego ci panowie życzą sobie tutaj; zostań Alicyo i poczekaj, dopóki nie wrócę.

To mowiąc, wybiegł pośpiesznie, ona zaś nie śmiała ruszyć się z miejsca.

Żołnierze pukali do drzwi, ale nikt nie pośpieszył im otworzyć, zaczęli przeto dobijać się gwałtownie, co słysząc Hektor, szybko wbiegł na pierwsze piętro, stanął przy kolumnie marmurowej i wyciągnął dwa pistolety z kieszeni.

— Zanim tu dojdą, kilku z nich padnie!—rzekł do siebie i dodał cynicznie: — w dzisiejszych czasach każdy musi na chleb swój zapracować z trudem.

Drzwi nie wytrzymały naporu, rygiel się zgiął i grenadyerzy pod dowództwem oficera zjawili się w przedsionku, ale natychmiast spostrzegli tego człowieka z dwoma pistoletami w ręku.

Służba zbiegła się również i przerażona spo-

glądała, to na oficera, to na urzędnika policyi, to wreszcie na znanego jej dobrze pana de Laringuet.

Urzędnik policyjny wystąpił naprzód i zawołał donośnie:

— Wzywam obywatelkę Contades, ażeby pojawiła się natychmiast i udała się z nami do gmachu policyi!

Hektor wysunął się z po za kolumny, złożył ukłon urzędnikowi policyi i rzekł drwiąco:

— Zdaje mi się, że pani de Contades nie ma najmniejszej ochoty przyjąć panów w tej chwili. Zresztą, o ile wiem, boli ją głowa trochę od tego hałasu, jaki wyprawia teraz Rzeczpospolita.

— Kim pan jesteś i dlaczego wtrącasz się do rzeczy nieswoich?

Hektor zmarszczył brwi, oczy jego rzucały iskry i wołał:

— Kim jestem, dowiecie się zaraz! Pierwszy, któryby się ośmielił wkroczyć na te schody, zginie!

Oficer odskoczył i zaśmiał się tylko.

— Waryacie! Poddaj się lepiej, opór nie zda się na nic! Nakazano nam dobrocią lub gwałtem pochwycić obywatelkę Contades.

— Spróbujcie zatem!

Tyle było dumy w twarzy i m wie Laringueta, że grenadyerzy zawahali się przez chwilę, ale oficer krzyknął:

— Naprzód! kryć się za filarami!

Służba pani de Contades załamywała ręce, oficer zwrócił się do Hektora:

— Po raz ostatni wzywam pana...

Nie dokończył, w tej chwili bowiem rozległ

się wystrzał i jeden z grenadyerów padł na wznak.

— Ognia! — zakomenderował oficer i ośmiu żołnierzy strzeliło w stronę Hektora, a gdy echo tego huku ucichło i gdy dym się rozwiał, zobaczono, jak Hektor chwiać się zaczął na nogach, ręką schwycił się za serce i runął na kamienną posadzkę przedsionka.

Krzyk przeraźliwy rozległ się w tej chwili i z pokoju wybiegło młode dziewczę, z rozpaczą rzucając się na leżącego na ziemi Hektora.

Alicya widziała tylko krew, sączącą się z dwóch ran w piersiach i czuła, że nie uratuje już ukochanego.

Żołnierze wkroczyli na schody, oficer zaś z politowaniem patrzył na ofiarę.

Umierający raz jeszcze otworzył oczy, widział łzy, czuł gorące pocałunki Alicyi i rzekł cicho:

— Dałem słowo...—Alicyo—przebacz!

Drgnął raz jeszcze i skonał. Ona zemdlona padła na jego zwłoki.

Żołnierze rozbiegli się natychmiast po pałacu i zaczęli przeszukiwać wszystkie kąty; ale wszędzie panowała cisza głucha, nie znaleziono tego, czego szukano.

Po godzinie znów uspokoiło się wszystko w pałacu pani de Contades i tylko drzwi były pootwierane i tylko światło paliło się ustawicznie. Wiatr igrał z portyerami, zrzucając na ziemię rozmaite cacka i pieścidełka; szafy, biurka rozbite, świadczyły o chwilach okropnych, jakie się rozegrały w tym pałacu.

Ciszę straszną przerwało nagle wejście oficera

z szarfą na ramieniu i w błyszczącym pióropuszu na głowie. Gaston Descamps wbiegł, rozglądać się zaczął wokoło i dojrzał nareszcie—trupa Hektora.

— Spóźniłem się — wołał z rozpaczą — ah! ten Fouché przeklęty! Przetrzymał mnie w komendanturze tak długo!

Alicya podniosła głowę i Gaston dostrzegł, że oczy jej były suche, jak gdyby wszystkie łzy swoje już wypłakały.

— Czyż nie mówiłam panu — rzekła bezdźwięcznie—że ta kobieta zabije Hektora!

ROZDZIAŁ XXI.

Przebudzenie się Cezara.

Dzień 20-ty Brumaira!

Bonaparte powrócił o 3-ej nad ranem z Saint-Cloud, zmiażdżył nieprzyjaciół swoich, Rzeczpospolita leży u nóg jego.

O godzinie 11-ej wieczorem zwołano resztę deputowanych obu izb do oranżeryi i tutaj przeprowadzono wszystko. O oporze nie można było nawet pomyśleć.

Wybrano komisyę do opracowania nowej konstytucyi, a chociaż Bonapartemu dodano jako konsulowi dwóch kolegów, ale to tylko drobnostki, to etykieta tylko, z po za której przyświeca już purpurą Cezarów.

Bonaparte jest teraz panem we Francyi.

Przez całą drogę z Saint-Cloud do Paryża nie rzekł ani słowa, co dziwiło nawet siedzących razem z nim w jednym powozie Lucyana i Sieyèsa. Może to tylko zmęczenie?...

Przy zakręcie na rue de Victoires Bonaparte

podał rękę bratu i Sieyèsowi, sam zaś pojechał do domu.

Józefina, dowiedziawszy się o całym szczęśliwym przebiegu, spała już, gdy Napoleon zjawił się w domu, ale nazajutrz bardzo wcześnie wstała, i wesoła, promieniejąca szczęściem, weszła do pokoju męża.

Generał był już ubrany zupełnie i stał przy oknie, spoglądając na ulicę.

Przybliżyła się na palcach i chciała uścisnąć go serdecznie, jako zwycięzcę, bohatera, pana Francyi.

— Ach, jakże się cieszę, gdy patrzę teraz na ciebie! — zawołała z uczuciem.

Napoleon ani się nawet nie odwrócił i milczał uporczywie.

Józefinę opanowała trwoga.

Po chwili dopiero odwrócił głowę i wtedy spostrzegła, że blady był niezmiernie. W ręku gniótł jakieś papiery i te papiery rzucił jej nagle pod nogi. Były to listy pisane do Barrasa w r. 96-ym.

Nogi zachwiały się pod nią i zdawało się jej, że ziemia usuwa się z pod nóg; musiała oprzeć się o poręcz krzesła, ażeby nie runąć na podłogę.

Złowroga cisza zapanowała w pokoju.

Bonaparte wyglądał w tej chwili tak samo, jak wczoraj, gdy stał wobec wściekłych deputowanych, oczy ciskały gromy. Pomimo to zaśmiał się sucho:

— Nie przypuszczałem nigdy, że na gruzach Dyrektoryatu znajdę takie dokumenty.

Józefina nie mogła nawet słowa wymówić, oddychała tylko ciężko, zdając sobie sprawę z tego, że w tym wypadku niema ani skargi, ani długiej pro-

cedury, ani też obrony, tu mogła być mowa tylko o wyroku srogim i czekała też na niego z trwogą nieopisaną.

Bonaparte nie spojrzał na nią i mówił:

— Tych nędzników deputowanych zdeptałem, uwolniłem kraj od żmij jadowitych; ale nigdy nie myślałem, że oni nawet uciekając, jeszcze strzałę wypuszczą zatrutą i że tym razem pocisk ten będzie celny. Ci ludzie pozbawili mnie wiary w ciebie.

Józefina rzuciła mu się do nóg i zakrywając twarz rękami, szlochać zaczęła głośno:

— Przysięgam ci, że nie jestem tak bardzo winną, jak się to może wydawać! Miej litość nademną!

Dopiero teraz, gdy usłyszał głos tej kobiety, wybuchnął groźnie:

— Nawet tyle nie miałaś szacunku dla przeszłości, że tego człowieka przeniosłaś nademnie! Mogłem go wczoraj kazać żołnierzom moim rozstrzelać i chciałem to już uczynić, bo ty nie wiesz, kobieto, do czego zdolnym jest człowiek, zadraśnięty w najświętszych uczuciach swoich! Byłbym go rozstrzelał, gdyby nie Descamps, który mnie w porę powstrzymał, przekładając, że tym sposobem narażę imię moje na szwank wobec całej Europy! Jesteś kobietą zdolną do wszystkiego, rządzisz się tylko fałszem! Te listy pochodzą z czasów, kiedy wszystkiem byłaś mi na świecie i o tem uczuciu mojem wiedziałaś najlepiej. Wszystko poświęciłbym dla ciebie, tak bardzo ci ufałem.

Tyle pogardy było w tonie mowy generała, że Józefina nie śmiała się podnieść z klęczek. Płakała

rzewnie, chociaż wiedziała, że łzy nie pomogą jej teraz zupełnie.

— Ten człowiek—jęczała—był dawnym znajomym i wyobrażał sobie, że ma prawa jakieś do mnie, to czasy były takie, niepewność jutra, twój wyjazd...

Zmierzył ją wzrokiem pogardliwie i wstręt poczuł do kobiety, która nawet teraz, nawet w tej chwili, tak mało wykazuje serca; wzdrygnął się i rzekł, albo raczej zasyczał przez zęby:

— Los twój byłby się już rozstrzygnął, gdybym był mógł działać swobodnie. Jedynem wyjściem z tego położenia byłby rozwód.

Krzyknęła rozpaczliwie, wstała z klęczek, błędnym okiem popatrzyła na męża i padła na kanapę. Bonaparte ani drgnął i mówił dalej:

— Od wczoraj zmieniło się wszystko, dziś innym już jestem człowiekiem, nie wolno mi więc posłannictwa mojego rozpoczynać od procesu skandalicznego. Oprócz tego powstrzymuje mnie jeszcze pamięć dawnych, lepszych czasów. Ty nie rozumiesz takiego uczucia, ale ja mam je rozwinięte bardzo. Przyznaję, że jedną tylko wyrządziłem ci krzywdę w życiu: uważając ciebie za istotę równą sobie Dziś widzę, że się pomyliłem, wiem teraz, że ty należysz do tej samej podłej rasy, która nosi ogólne miano ludzi. Bądź spokojną, nie skrzywdzę cię w podobny sposob po raz drugi.

Krwawy sarkazm Napoleona raził ją gorzej, aniżeliby to uczynić mogły wybuchy wściekłości.

— W imię tej przeszłości naszej — błagała — zaklinam cię, miej litość nademną!

Bonaparte szybko przebiegać zaczął w tę i ową stronę, potem zatrzymał się przed Józefiną, a widząc, że płacze ustawicznie, zaśmiał się gorzko:

— Łzy! Gdy shańbicie kogoś, gdy życie mu złamiecie, to wtedy dla odpokutowania winy jedną tylko macie drogę—łzy! Mnie nie rozczulą one, więc słuchaj! Nie wiele zabierze czasu to, co ci chcę powiedzieć. Czy słuchasz?

— Słyszę — odparła cicho, nie odrywając chustki od zapłakanych oczów — i uczynię wszystko, co postanowisz.

— Powiedziałem ci już, że nie będę cię karał, poniżając bowiem ciebie, ubliżyłbym zarazem sobie, a ja należę teraz wyłącznie do Francyi. W pożyciu naszem domowem rozpoczynamy grać teraz komedyę, będziemy musieli nie wtedy, gdy tego zapragniemy, ale wtedy, gdy obowiązki tego zażądają, śmiać się, kłaniać, gniewać, ażeby nikt nie odgadł, co się dzieje w duszy. Przygotuj się zatem do tej roli i zapamiętaj sobie, że na tej wysokości, do której ja cię doprowadzę, nie może już być mowy o namiętnościach i miłości; to kwiatki, które ty podeptałaś własnemi nogami. Chciałem, ażeby woń tych kwiatów pozostała we wspomnieniu przynajmniej, ale woń rozwiała się zupełnie, dzięki tobie.

Znów chodzić zaczął po pokoju i umyślnie unikał spotkania się swoich oczu z oczami Józefiny.

— Żona pierwszego konsula musi dzisiaj jeszcze przyjmować życzenia całego Paryża i nie chcę, ażeby ktośkolwiek dostrzegł ślady łez na twojej twarzy!

Szybko wyszedł z pokoju, zamknąwszy drzwi

za sobą, Józefina długo jeszcze leżała na kanapie i płakała.

Już od godziny 9-ej rano powóz za powozem sunął ku rue de Victories; zdawaćby się mogło, że pół Paryża spieszy złożyć hołd nowemu władcy.

Dzień był dżdżysty, pochmurny, listopadowy, nie powstrzymywało to jednak przeróżnych pochlebców i zwolenników od stawienia się w domu pierwszego konsula.

W przedpokoju i salonie roiły się fraki i mundury i suknie jasne kobiet; rozmawiano, szeptano, ordynansi zjawiali się po rozkazy, służba uwijała się cicho wśród gości.

Ministeryum wysłało deputacyę, bank paryzki uczynił to samo, kupcy mieli tu swoich delegatów, a przedewszystkiem stawili się licznie przedstawiciele pułków, którzy dopomogli do zamachu stanu. Niemniej w komplecie znaleźli się krewni rodzin Bonaparte i Beauharnais, obok zaś nich ministrowie Cambon i Fouché, dalej Arnauld i Legouvé, malarz Biogi i inni.

Wśród zebranych nie było teraz nikogo, ktoby nie rzucał przekleństw na dyrektorów, na „idyotę“ Barrasa, „na wyrafinowaną intrygantkę“ panią de Contades, na „plotkarkę“ panią de Staël. Precz z bogami wczorajszymi! Mamy nowych! Mamy Bonapartego i jego towarzyszów z Włoch i Egiptu.

Co ten Bonaparte teraz zamierza uczynić? Czy to prawda, że przedewszystkiem ruszy na Anglię? Lub może najprzód uderzy na Włochy?

Gorączkowo zadawano sobie te pytania, ale pierwszy konsul był jak sfinks tajemniczy.

Panie zajmowały się wyłącznie tem, czy Bonaparte zamieszka w pałacu Luksemburskim, czy też przeprowadzi się do Tuilleryi?

Drzwi otworzono na rozcież i poprzedzony przez służbę wszedł generał, prowadząc pod rękę Józefinę, wyglądającą wprawdzie bardzo blado, ale w nader strojnej tualecie. Wprawdzie oczy jej wyglądały, jak gdyby były zamglone, ale natomiast agrafa szmaragdowa wybornie zdobiła jej białe, jak alabaster ramiona.

Wszyscy pochylili głowy, Józefina podeszła do pań, Bonaparte zaś wprost skierował się ku Fouchému i pierwsze słowa, jakie wymówił, brzmiały·

— Czy pani de Contades zaaresztowana?

Fouché przygryzł tylko wargi i odparł:

— Uciekła do Anglii!

— Ha!—krzyknął Napoleon i zmarszczył brwi, ale wnet odzyskał zimną krew i bąknął: — Nic nie szkodzi! Jako pierwszy warunek przy zawieraniu pokoju, postawię wydanie mi tej kobiety. Gdzie Barras?

— Wyjechał z Paryża.

— Bernadotte?

— Oddaje się do twojego rozporządzenia, obywatelu konsulu!

— A przedmieścia?

— Najzupełniej spokojnie.

Bonaparte wypogodził teraz oblicze, odwrócił się do towarzystwa, a oglądając się uważnie, dostrzegł w kącie pomiędzy innymi oficerami Descampsa.

Natychmiast przecisnął się pomiędzy gośćmi

i wyciągając do Gastona rękę, zawołał tak, ażeby go wszyscy słyszeli:

— Kapitanie, przysług, jakie mi wyrządziłeś w ostatnich dniach, nie zapomnę ci nigdy! Pułk huzarów w Grenelle nie ma w tej chwili komendanta, ten ważny przeto posterunek oddaję ci teraz. Droga do sławy i zaszczytów przed tobą otwarta, Francya na nowe wkracza tory, przed nami przyszłość!

Descamps skłonił się tylko, mruknął coś niewyraźnie, ale nie wyciągnął ręki swojej do Bonapartego.

Gaston powracał od trupa Hektora i czuł teraz, że sam pomagał do zabicia przyjaciela i do klęski ubóstwianej niegdyś Estelli, a człowiekiem, który go do tego nakłonił był—Bonaparte. W tej chwili zrozumiał Gaston, że kto się raz odda temu człowiekowi, to już na zawsze w ofierze składa swój honor, swoją przeszłość i przyszłość, wszystko, co kocha i co wielbi.

I dlatego nie miał Gaston siły dziękować teraz Napoleonowi...

Bonaparte wzruszył tylko ramionami i podszedł do innej grupy gości. On nie przywykł wypytywać się o nic swoich podkomendnych.

Pierwszy konsul zwrócił się do Tailleyranda:

— Skończyło się panowanie zdrajców i niedołęgów, Francya inną teraz pójdzie drogą!

„Nową drogą“... Jakaż to może być ta „nowa, inna droga?“

Spokój na wewnątrz i spokój na zewnątrz — oto czego pragnęli wszyscy, zmęczeni, wyczerpani

ofiarami, jakie kraj poniósł w ciągu tych lat kilku od wybuchu Rewolucyi.

Głowy wszystkie się pochyliły, ale Bonaparte przyjmował hołdy obojętnie; spojrzał na Józefinę, niegdyś tak gorąco kochaną, i przypomniał sobie, że raz na zawsze zniknęły wszelkie iluzye młodości.

Bonaparte wierzył w szczęśliwą gwiazdę swoją, gdzieś w oddali widział przed sobą panowanie nad światem, a równocześnie wzrastało w nim uczucie pogardy do tego wszystkiego, co ludzie nazywają szczęściem lub nieszczęściem, miłością...

KONIEC.

1k

480.—

75/85

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
174017

Biblioteka WSP Kielce
0122037